



GARŚC PIECZONYCH KASZTANÓW

rozmawiamy z naszym laureatem – str. 3

TYGODNIK
SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

ROK LXXII ● NR 52-53 ● 24-31 XII 89 r.

CENA 250 zł



GŁOS

NAUCZYCIELSKI

Ponadto w numerze:

O dwóch takich co chcą naraz
● Chimera boi się sama — zobacz to koniecznie ● Oaza na oświatowej pustyni ● Świąteczny placek z łamigłówkami

INDERS-35923

PL ISSN-0017-1263



SZCZĘŚLIWYCH ŚWIĄT!

Ruchoma szopka w Wambierzycach. Fot. CAF

PUCHATEK MIESZKA W LASKACH

● ● 6



Fot. Marek Suchecki

● MŁODZI NAUCZYCIELE O TRUDNOŚCIACH STARTU

PROPOZYCJA SPOTKANIA

SPÓŁCZNA RADA ARCHIWUM

**Z TROSKĄ O OŚWIACIE
DOROSŁYCH**

CONTRACT AND STATUTEM

● PYTANIE

ODPOWIEDŹ

DRUGA RUNDA

● PYTANIE

● ODPOWIEDZ

● PYTANIE

● ODPOWIEDŹ

PYTANIE

ODPOWIEDZ

(ZP)

UWAGA

Czekamy na uwagi Czytelników. Jakiego pytania powinniśmy zadać przedstawicielom kierownictwa Zarządu Głównego ZNP w trzeciej rundzie?

GARŚĆ PIECZONYCH KASZTANÓW

Z WALDEMAREM MICHAŁSKIM — laureatem Nagrody Literackiej „Głosu” rozmawia Henryka Witalewska.

— Na skrzydełku nagrodzonego właśnie tomu Pana poezji „Pod znakiem Wagi” umieszczono taką oto charakterystykę osób spod tego znaku, do których i Pan należy: „Waga — z natury bywa spokojna, uprzejma i obiektywna. Unika spór i konfrontacji, a to nie z tchórzostwa, lecz z życiowej mądrości. Jest towarzyszka, pracowita, sprawiedliwa. Posiada talenty artystyczne i dyplomatyczne. Ma własne zdanie — a także zdolności do medytacji oraz chęć wcielania w życie własnych ideałów etycznych. Przyparta do muru potrafi się bronić nie gorzej od wojowniczego Skorpiona...” Czy to się zgadza? Czy taki właśnie jest autor „Ogródu”, „Głosów na wersety” i innych książek i tomików?

— Być może, że to i owo się zgadza... Nie mnie jednak odpowiadać na to pytanie. Co nie znaczy, że chciałbym uciec od mówienia o sobie...

— Taka ucieczka byłaby niemożliwa. Nasz Czytelnicy pragną bowiem bliżej poznać tegorocznych laureatów Nagrody Literackiej „Głosu”, przyznanej po raz pierwszy jesienią bieżącego roku. Pan został uhonorowany za poezję (w dziedzinie prozy nagrodę zdobył Zbigniew Brzozowski*). Jak się rozpoczęła Pana przygoda z poezją? Przedtem jednak — może kilka podstawowych faktów biograficznych.

— Kończyłem polonistykę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Przez wiele lat byłem kustoszem Biblioteki Uniwersyteckiej KUL. Od dziesięciu lat jestem nauczycielem w Studium Kultury i Języka Polskiego dla Obcokrajowców w tej uczelni.

A teraz o moich korzeniach. Urodziłem się w 1938 roku na Wołyniu. Wieś moich dziadków w majowe wieczory rozbrzmiewała śpiewem, na przemian, polskim i ukraińskim. Na „wieczorynkach” młodzi wiązali się w pary „na całe życie” i nie stanowiła tu bariery ani odmienna religia, ani różnice językowe. Także w mojej rodzinie były mieszane narodowościowo małżeństwa. Nikogo to nie dziwiło, ani gorszyło. Do kościoła było 20 kilometrów, do cerkwi kilkadziesiąt metrów. Na wszystkie ważniejsze święta jechało się do kościoła, ale w czasie jesiennej szarugi cerkiew była bliżej — babka stwierdzała autorytatywnie: Bóg jest jeden, tylko ludzie się poróżnili.

W duchu swoiście pojmanego ekumenizmu mojej babki i wielkiej tolerancji dziadka dla różnych tradycji kulturalnych kształtowały się międzysąsiedzkie stosunki i życiowe postawy. Matce zawdzięczam to, że nauczyła mnie patrzeć na „różnorodność” tego świata bez uprzedzeń, ale z pokorą i szacunkiem. Odziedziczyłem charakterystyczną optykę widzenia świata i ludzi: w różnorodności widzieć bogactwo, szukać tego, co ludzi łączy, rozumieć ich odmienne postawy, przekonania, a to przecież znaczy tyle co dostrzegać, wybierać, budować jednoczyć — budować mosty między nawet najbardziej poróżnionymi. Kto czytał „Pożogę” Zofii Kossak, ten wie, w jakich warunkach żyło się na Wołyniu po 1917 r i jak trudno było odbudowywać sąsiedztwa wspólnoty w międzywojennym dwudziestolecu. Niestety krwawy dramat powtórzył się w roku 1943 i 1944, ale nawet wtedy, kiedy ledwo udało nam się uciec z życia, babka nieprzyjaźni traktowała jedynie z „życiowym obrzydzeniem”. To wszystko wydaje się dziś bardzo odległe, nieprawdopodobne, choć stanowi źródło swoistej filozofii życia ludzi Kresów. Potwierdzają to wydarzenia i bohaterowie utworów Buczkowskiego, Kuśniewicza, Strykowski. Formacja duchowa człowieka Kresów — chyba coś takiego istnieje i myślę, że mogę się do niej przynależać.

— Sądzę, że uważny Czytelnik znajdzie w Pana wierszach wiele z tego, o czym Pan właśnie mówi...

— Mogłbym powiedzieć: „Moja poezja — moje życie” i w tym stwierdzeniu byłoby dużo patosu, a tylko część prawdy. Choć oczywiście, w moich wierszach znaleźć można wiele biograficznych realiów, motywów zaczerpniętych z otoczenia, w którym żyję, pracuję. Są także ślady poe-

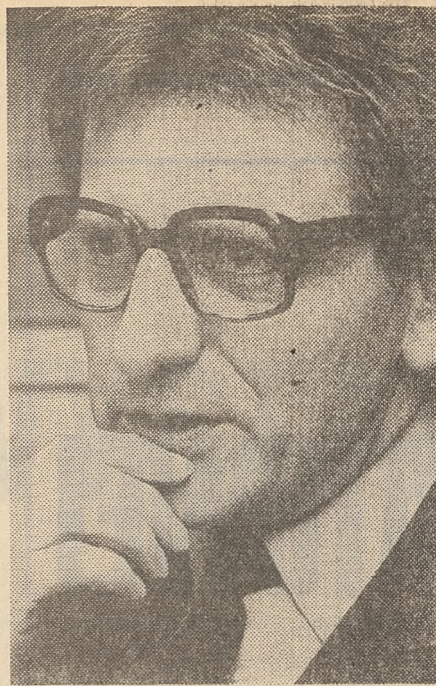
tycznych podróży, jakie udało mi się odbyć po szerokim świecie i pięknym naszym kraju. Cóż z tych podróży przywoziłem? — garść pieczonych kasztanów, różaniec od Papieża, gałązkę z wierzbą, którą posadziłem w Kaniowie obok krzyża znad mogiły Tarasa Szewczenki... tak, ale także i ciągle powracającą refleksję, że na przestrzeni różnych kontynentów świata, w ciągu tysiąca wieków zmieniało się wokół człowieka prawie wszystko, tylko najmniej on sam.

— Chyba w ogóle się nie zmienił...

— O jego człowieczeństwie stanowią niezmienne nadal: miłość, nadzieja, wiara... Czyż nie jest znamienne to, że właśnie tu, w Środkowej Europie, poezja jeszcze autentycznie żyje, i ma się bardzo dobrze, że recytuje się ją na politycznych wiecach, wygłasza w kościołach, czyta przy lampce domowej. To właśnie poezja w czasach trudnych, w czasach depresji moralnych, ma — moim zdaniem — szczególne postanie. Krzewienie wiary, o dobro, budzenie nadziei na sprawiedliwość, odkrywanie piękna, miłości i przyjaźni. Czy to mało?

— A czy poezja polska była kiedyś inna? Ojczyzna była w niej zawsze utożsamiana z tym, co najpiękniejsze i najwartościowsze...

— Moje wiersze wyrastają z kontemplacji etyczno-moralnych postaw człowieka. Wydaje się, że to, o czym mówię, może być także programem artystycznym i spo-



Waldemar Michałski: poezja to podanie ręki... Fot. M. Suchecki

łeczny współczesnej sztuki, a przynajmniej, chciałbym, aby było programem mojej poezji.

— Jest Pan i nauczycielem, i pisarzem. Co Pan sądzi o tych dwu profesjach? Czy wpływają one wzajemnie na siebie? Czy można mówić o ich szczególnym pokrewnieństwie?

— Nauczyciel i poeta — to bez wątpienia dwie bliźniacze profesje. W obydwu słowo jest kluczem i narzędziem. Dydaktyzm i rutyna — klęską. Nauczyciel czy poeta nie istnieją bez ucznia, słuchacza, czytelnika. Nie piszemy przecież wierszy wyłącznie dla siebie, podobnie jak nauczyciel nie przemawia do tablicy, nie prowadzi lekcji w pozbawionej uczniów klasie. Wiersz jak uczeń — cieszy i denerwuje, wypruwa ostatnie nerwy, ale też bywa powodem dumy i satysfakcji. Wzór mistrza i przewodnika — ideał obydwu profesji, marzenie urodzonych „analityków duszy i sumienia”. Biorę książkę do ręki i mam wrażenie, że oto stoję przed klasą pełną uczniów, o różnych obliczach, różnych możliwościach. Uczeń i księga. Dzień po dniu ją kartkuje. Pisze. Uczę się sam i pragnę uczyć. Pedagog i literat nie kończą swojej pracy o określonej godzinie — noszą w sobie różne wątpliwości i rozstrząsają problemy — obecni w swoim działaniu bez względu na miejsce, czas i sytuację.

Nauczyciel i poeta to nie zawód, to stan pełnej i ciągłej gotowości. Nie potrafimy

wyznaczyć granicy, gdzie kończy się nauczanie a zaczyna literatura. Zmysł twórczy jest przecież fundamentem działania obydwu profesji. Świadomość, że słowo może budować, ale i kałeczyć, nawet zabijać, jest niezwykle zobowiązująca zarówno w procesie tworzenia literackiego, jak i nauczania oraz wychowywania.

— I to chyba nie przypadek, że tak wielu pisarzy i ludzi pióra było i jest związanych ze szkołą...?

— Z pewnością nie. Jak wynika z ankiet ZLP — co czwarty literat wykonywał lub wykonuje równocześnie zawód nauczycielski. Przykładowo — przez całe lata „belferowali”, a równocześnie byli niezwykle czynni jako literaci m. in.: Leszek Bakula, Emil Biela, Stefan Gołębiowski, Ryszard Kornacki, Wiesław Kazanecki, Stanisław Nyczaj, Apolinary Nosalski, Zbigniew Kościński, Marian Kawalko, Longin Jan Okoń, Stanisław Srokowski, Ewa Najwer, Adriana Szymańska, Zbigniew Strzałkowski, Bogusław Zurakowski i wielu innych obecnych w działalności regionalnych Nauczycielskich Klubów Literackich.

Pozwól sobie zauważyć, że w moim kreślowym Włodzimierzu Wołyńskim (gdzie się urodziłem i uczyłem pierwszych liter) nauczycielem był także Józef Czechowicz. Później w Lublinie i w Warszawie łączył z powodzeniem profesję literata i pedagoga. Wokół siebie skupił wielu piszących i aktywnie inspirował działania literackie wśród uczniów i kolegów nauczycieli.

— Więc to chyba nie przypadek, że już pierwszy, wydany w 1973 roku tom poetycki „Pejzaż rdzawy” przyniósł Panu własnie nagrodę literacką im. Józefa Czechowicza, a w bieżącym roku został Pan laureatem Nagrody Literackiej „Głosu Nauczycielskiego”... Czy mógłby Pan powiedzieć, jak się rodzi dobry wiersz?

— Gdyby na to pytanie można było łatwo odpowiedzieć, to zapewne wszyscy pisaliby tylko bardzo dobre wiersze. To bardzo podchwytliwe pytanie. Poezja bowiem — jak to bywa ze sztuką w ogóle — staje się z dnia na dzień, dzieje się razem z nami, rodzi się i kształtuje w nas. Podkreślam: poezja jest bardzo subiektywnym odczuciem i bardzo indywidualnym dziełem. Zawsze starałem się być autorem, który wyraża to wszystko co ludzi łączy, podawać rękę nawet najbardziej poróżnionym, odwróconym. A więc wiersz to refleksja, która pomaga nam odnaleźć siebie, uspokoić ponad miarę rozgrzane głowy i serca, refleksja, która buduje a nie niszczy, która pomaga upomnieć się o prawdę i przyznać do słabości.

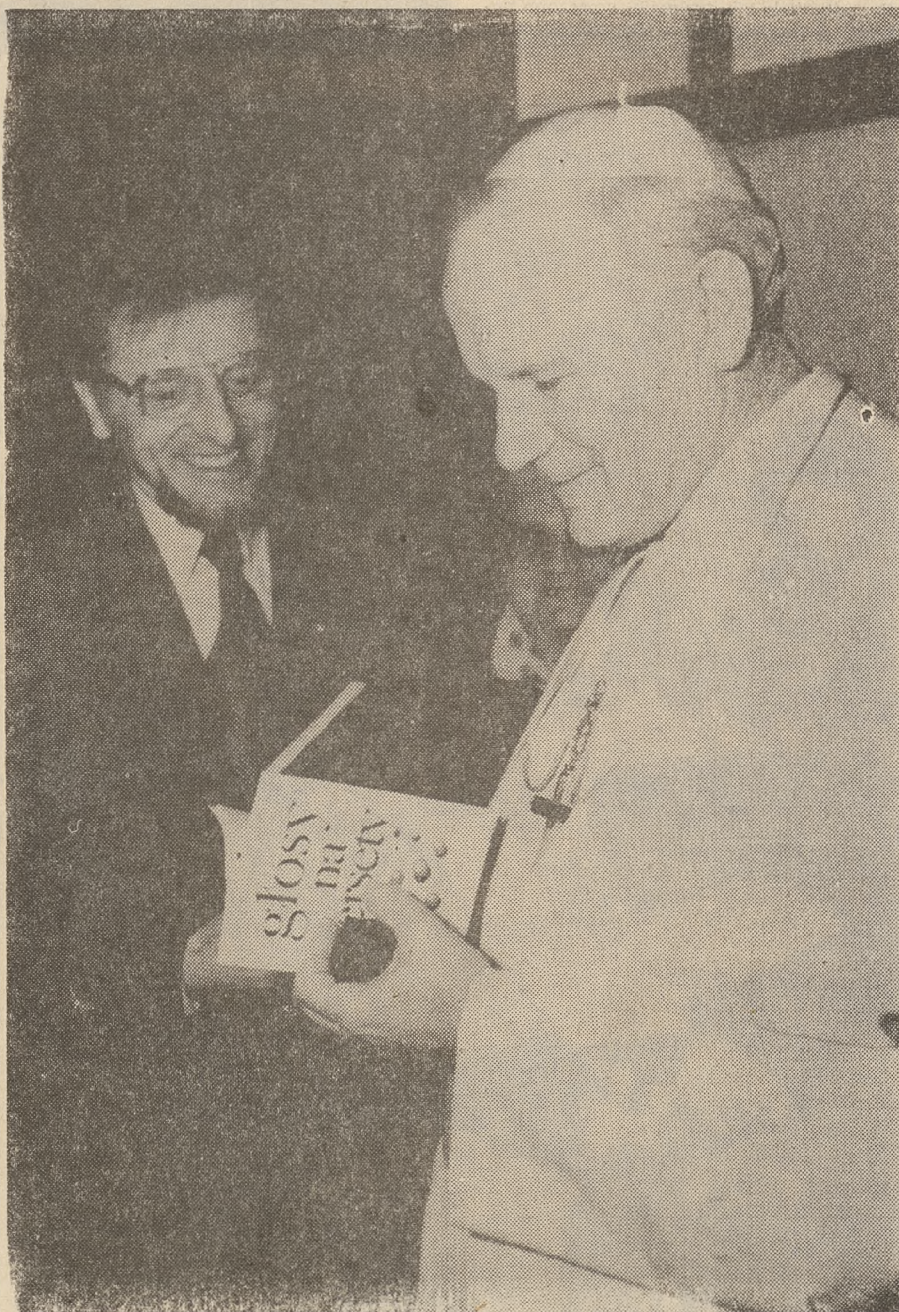
To poeta — poezja — stawia dziś pytania o cel i sens istnienia, broni wartości ludzkich, bez których nie ma normalnego życia. Chyba tym należy tłumaczyć tak ogromną dziś popularność metafizycznej poezji Cohena i Okudźawy, poezji szukania sensu i celu. Tu należy zauważyć, że poezja stała się dziś dyscypliną niemal meta-naukowa. Oto jej argumenty i atuty: stara się mówić o tym, czego jeszcze nie można zdefiniować, sięga do tych obszarów myśli ludzkich, do których nie ma już dostępu logika, skutecznie rywalizuje z filozofią, a przynajmniej zgodnie przyznaje się jej awangardowe miejsce w inspiracji myśli ludzkiej. Wiersz jest dziś poszukiwaniem, konstruowaniem nowej wizji świata, odkrywaniem i komentowaniem jego tajemnic.

— Przypisuje Pan poezji ogromną moc i siłę. Dla mnie wiersz jest nade wszystko czymś niesłychanie intymnym...

— Tak! Poezja to jednak przede wszystkim podanie ręki, intymna obecność dwojga ludzi nie mających przed sobą żadnych tajemnic, przeżywających wspólną radość istnienia. Przeżywających radość tworzenia, która spełnia się w miłości — bo dusza i pełnia naszego ludzkiego postępowania na Ziemi jest właśnie miłości. Kiedyś w wierszu pt. „Ogród” napisałem: „kocham więc jestem” — i kto tych słów nie rozumie, ten już umarł. Takim też przeżyciem kierowałem się kompletując tom wierszy pt. „Pod znakiem Wagi”.

— A co Pan pisze teraz? Na co mogą liczyć w najbliższym czasie miłośnicy Pana poezji?

— Od ponad 30 lat mieszkam w Lublinie i tu, w Wydawnictwie Lubelskim, opublikowałem wszystkie swoje książki poetyckie. Niestety, Wydawnictwo publikowało je w minimalnych nakładach, co w zasadzie pozbawiło mnie szansy trafiać do czytelników w innych rejonach kraju. Mam podpisaną umowę na kolejną pozycję, ale czas przyszedł ciężki dla poetów, szczególnie debiutantów znaleźli się w sytuacji niemal beznadziejnej. Związek Literatów Polskich lub sam autor szukać musi mecenasa, który będzie w stanie zapłacić wydawnictwu około dwóch milionów złotych za wydanie jednoarkuszowego tomu poezji. W tej sytuacji różnie znaczenie bezpośredniego kontaktu autora z czytelnikiem, czyli tzw. spotkań autorskich. Spo-



Laureat naszej Nagrody Literackiej wręcza swój tom wierszy pt. „Głosy na wersety” Papieżowi Janowi Pawłowi II, marzec 1984 r.

Wielu Czytelników prosi nas o teksty przedstawiające pracę szkół społecznych.

OAZA NA OŚWIATOWEJ PUSTYNI

Nielatwo do niej dotrzeć, szlaki nie zostały jeszcze całkiem przetarte. Więc i ja, wiedząc ciekawością, długo krąję po wydłubionych — podobno o każdej porze dnia — ulicach warszawskiego Ursynowa. Nagabuję niefachowych przechodniów, ale jakos nikt z nich nie wie o istniejącym tutaj od września liceum. Dopiero grupka biegających do autobusu studentów wskazuje mi zespół domów akademickich SGGW „Chyba gdzieś tutaj coś takiego jest” — mówią. I rzeczywiście — w kilku akademikach znalazły pomieszczenie 4 klasy I Społecznego Liceum Ogólnokształcącego. Jedyna w tej dużej i rozległej dzielnicy szkoła średnia i jedyna wśród tego typu placówek społecznych — Liceum autorskie. Z własną ciekawą koncepcją kształcenia z własnym programem nauczania, z odmiennymi niż w tradycyjnej szkole metodami pracy z uczniem.

Grupa zapaleńców-nauczycieli i pracowników nauki — podjęła samodzielnie próbę wdrożenia w praktyce idei wielu pokoleń wybitnych uczonych i pedagogów: szkoły wolnej od rygору, przymusu, leków, rutyny i pedagogicznej niemocy. Koncepcji w całym postępowym świecie znanej, ale nie wszędzie w pełni upowszechnionej. Istnienie takiej szkoły wymaga bowiem nie tylko bogatego zaplecza materialnego, ale też, a może przede wszystkim — dobrych, twórczych i prawdziwie zaangażowanych nauczycieli. Bo też oni są współtwórcami koncepcji pracy i programów.

Warszawskie pierwsze Liceum Społeczne owego zaplecza akurat nie ma, ale wszystko inne jest i funkcjonuje — mimo licznych przeciwności losu — nader sprawnie. To skłania mnie jeszcze raz do stwierdzenia, że jednak w każdym ambitnym przedsięwzięciu najważniejsi są ludzie. Dobry fachowcy, zaangażowani w to, co robią. Ale to nie wystarczy. Także — bardzo dobrze rozumiejący się nawzajem.

JEST FAJNIE

Uczniowie — 60 dziewcząt i chłopców, po 15 w każdej klasie — mówią o swojej szkole chętnie i każdy chce coś dodać od siebie.

— Tu jest po prostu fajnie. Narazicie przesiadaliśmy się bać. Nie musimy niczego udawać, kreć, pozorować. Nie ma mowy o wagarach. My naprawdę lubimy tu przychodzić! W tej krótkiej uczniowskiej recenzji kryje się — można powiedzieć — sens całego trudu ich wychowawców.

Stan ducha nauczycieli jest podobny, optymizmu można im pozazdrościć, choć i oni, i uczniowie łatwego życia nie mają. Ta szkoła — to jedno wielkie wędrowanie. Każda z czterech klas mści się w innym akademiku, jeszcze w innym — małe pomieszczenie służące za kancelarię i pokój nauczycielski. Punkt spotkań dyrektki, nauczycieli uczniów i rodziców. Na sześćście taktu nie ma, każdy wchodzi na kilka minut, zostawia sprawę i znika. Wszystkie ważne chwile nauczyciele rezerwują dla uczniów.

A d nich słysze, że szkoła jest ruchoma. Co to znaczy? Ano to, że ślęga od Ursynowa do Śródmieścia. Trochę jej w liceum im. Batorego, trochę na ul. Rozbrat, trochę na Mokotowski, trochę na pl. Jedności Robotniczej. Do Centrum Doskonalenia Nauczycieli i Liceum Batorego jeżdżą na zajęcia komputerowe; do Instytutu Fizyki Politechniki Warszawskiej — na zajęcia z fizyki; zaś basen i salę gimnastyczną mają na ul. Rozbrat. Tek krąży i nauczyciele. Ale — o dżiu — i jedni, i drudzy — nie narzekają.

prof. Cymbarowskiego i prof. Goltminger-Kubickiego w przypadku biologii, prof. Kołosa w przypadku chemii.

Tak więc, zanim liceum zostało otwarte, mieliśmy to, co najważniejsze: koncepcję i program. Teraz sprawdzamy w praktyce te nasze pomysły. To, że nie robimy nic przeciw sobie, na czyjkolwiek polecenie wyzwała energię i pozwala znosić trudy.

— Słyszalam, że odeszliście od tradycyjnego podziału na przedmioty?

— Istotnie, nie ma wydzielonych przedmiotów, odrzucałmy takie rozwiązanie, jako złe. Są bloki przedmiotowe, humanistyczny, przyrodniczy, matematyczno-fizyczny i rozwoju psycho-fizycznego. Istnieje w tym układzie integracja treści, jeśli nie w pełni, to w większości są one skorelowane. Zajęcia odbywają się w blokach tematycznych, np. humanistyczne w ciągu jednego dnia. Lekcje, bez dzwonek, trwają pełną godzinę zegarową, przerwy, w zależności od potrzeb, organizuje nauczyciel.

Tak oto nareszcie młodzież nie uczy się polskiego, czy historii lecz zdobywa wiedzę z zakresu humanistyki. To jakby „wyższa szkoła jazdy” w naszym systemie edukacji, nastawionej na poszufladkową wiedzę przedmiotową. W tych warunkach nauczyciel musi być rzeczywiście fachow-

cem o szerokich horyzontach. A i jego wysiłek zwiększony skoro trzeba być polonistą, ale też trochę historykiem, filozofem, historykiem sztuki itp. Czy to się wszystkim udaje? — rzucam pytanie do trójki nauczycieli, choć wiem, że trudno na nie odpowiedzieć po trzech zaledwie miesiącach pracy.

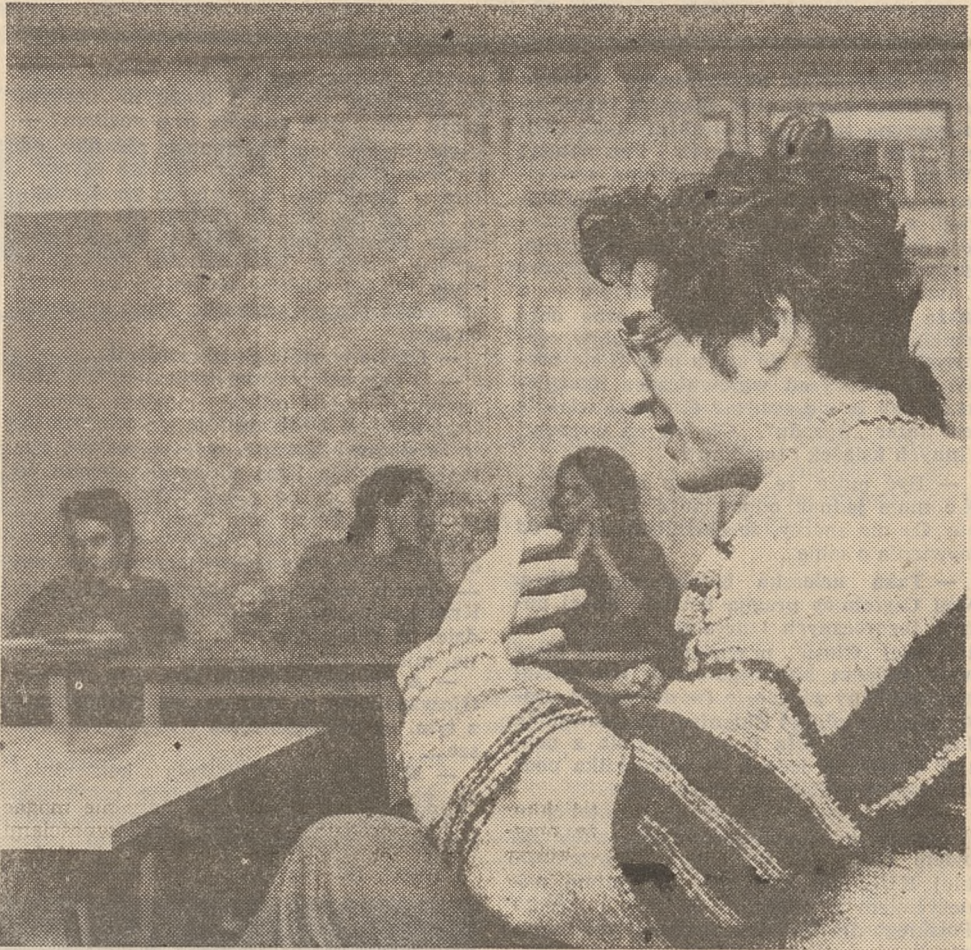
Siedząca z boku dyrektor Starczewska, zajęta chwilowo uzgadnianiem jakiejś pilnej sprawy — przerywa chwilę ciszy.

— To żadna sztuka nauczyć czegoś w klasie liczącej 15 uczniów...

Ja dodaję już w myślach: W dodatku, gdy przyszli tu z własnej i nieprzymuszanej woli (na 1 miejsce 4 kandydatów) a rodzice za ich naukę płacą.

MAMY WPŁYW NA PRZEBIEG LEKCJI

A jednak, sądzą, nie każdy nauczyciel dałby sobie tutaj radę. Jest ich 28, ale na etacie niewielu. Część pracuje w liceum i np. w Polskiej Akademii Nauk, jak choćby nauczyciel fizyki, pan Sobkowicz i biolog — polonista pan Włodzimierz Pazyński jest jednocześnie pracownikiem UW. chemik — pan Andrzej Wreda jest pracownikiem szpitalnego laboratorium. Jest 4 psychologów, każdy ma pod opieką klasę.



Dyrektor Starczewska do grudnia jeszcze pracownik IFS PAN polonista i filozof z wykształcenia — ma pełny etat, prowadzi zajęcia w bloku humanistycznym.

Znam szkoły, w których w klasie jest po 10 uczniów, wśród kadry tytuły magisterskie, a wyniki słabutkie. Sukces bowiem tkwi zawsze w metodzie pracy. Tę inną, nowoczesną metodę, pierwsze Społeczne Liceum właśnie ma.

— To zupełnie inna szkoła niż tak, którą znamy — mówi uczennica, Karol na Świderskiej. To całkiem inne nauczanie. W każdej chwili mogę np. przerwać lekcję, poprosić o wyjaśnienie i otrzymam je. Zgłaszamy wątpliwości, przysiadamy się, że czegoś nie rozumiemy i to w momencie, kiedy nie rozumiemy. Nauczyciel również sam pyta, czy to, czym nas zajął, jest interesujące. Słucha naszych uwag i liczy się z nami. W ten sposób mamy wpływ na przebieg lekcji.

Jaek Rychter: — Nie ma dwóch, zginał lek przed niepowodzeniem. Oceny uzgadniamy z nauczycielem. Matematyk ma np. 15-stopniową skalę ocen, dobrze nam znana, on także omawia swoją ocenę z uczniami.

— Czyli — cieszysz się, że jesteście na luzie, macie łabę, że nie musicie się wysilać, skoro wszystko się z wami uzgadnia?

— Mówiąc najkrócej w tym — mówi dyrektor Starczewska — że stanowi ona wspólną jakby własność: uczniów, rodziców i nauczycieli. Wspólna jest o nią troska, wspólnie rozwiązują się wszystkie problemy. Władza w szkole ma stać się wybierana przez całą społeczność Rada Szkoła, w której skład wejdą nauczyciele, rodzice i uczniowie. W tym gronie rozstrzygać się będzie w zasadzie wszystkie sprawy, podejmować decyzje. Powołujemy właśnie do życia taką radę, z tej powstanie wieloosobny nadzór nad większymi działaniami i tych dołówek, i tych na większą skalę planów i zamierzeń.

Takie kierowanie szkołą jest najbardziej efektywne, co już w wielu krajach zostało udowodnione. Tylko w naszym kraju ciągle nie mogą szkoły stać się rzecpospolitą uczniów, nauczycieli i rodziców, do czego na tych ławach bezskutecznie namawiamy od wielu już lat.

— Redagujemy własną gazetkę — mówi Karolina. — Raz w miesiącu ukazuje się to nasze wspólne dzieło w nakładzie ponad

100 egzemplarzy. Rozeszłoby się więcej, bo koleżanki i koledzy z innych szkół, np. Batorego, chętnie nas czytają. Bardzo to ciekawe taką gazetkę redagować.

— Ale jednak wkuwać trzeba, choćby języki obce. Nauka intensywna: 5 godzin tygodniowo (angielski lub francuski) oraz dodatkowo 2 godziny tygodniowo — łacina, rosyjski, szwedzki, japoński — do wyboru. W tym roku wybory rozłożyły się prawie równo. Zakłada się, iż każda grupa wyjedzie do kraju, którego języka się uczy. Na razie — udało się zorganizować w czasie ferii zimowych tygodniowy wyjazd do Moskwy, inni muszą jeszcze poczekać. Ale plany mają szansę realizacji.

A czas wolny? Uczniowie nie mogą przecież żyć tylko szkołą? W jaki sposób rozwijane są ich indywidualne zainteresowania? Krążę w rozmowach wokół tych pytań, ale nie stawiam ich wprost, skoro wiem, że w czterech małych salkach akademika o pełnym rozwinięciu skrzydeł można tylko marzyć.

A ONI MARZĄ

o prawdziwej szkole — z basenem, boiskiem i salą gimnastyczną, gabinetami pełnymi nowoczesnych pomocy naukowych, laboratoriami, przestrzenią nie krepującą, jak dziś, swobody ruchów, z pracowniami do nauczania języków obcych. Na ile te marzenia są realne?

— Być może nasi pierwsi obecni uczniowie urządzić swój bal maturalny już w nowej szkole — mówi dyr. Starczewska. Będziemy ją budować. Pierwszy krok został zrobiony — otrzymaliśmy duży plac, w ładnym miejscu, obok Instytutu Onkologii, z dobrym połączeniem autobusowym. Nie wszyscy w ten termin wierzą, ale być może się uda.

Tymczasem jest na ul. Bednarskiej budynek, należący kiedyś do oświaty, a użytkowany przez wiele lat przez PZPR. W tej chwili część oddano Wojewódzkiej Bibliotece Pedagogicznej. O drugą starą się Społeczne Liceum, ale nie z tych starów nie wyszło. W wolnych pomieszczeniach zorganizowano Ośrodek doskonalenia kadry. Niedane warunki pracy, ambitnej szkoły, jak na razie, nikogo nie poruszyły...

Szkola boryka się z trudnościami finansowymi. Tzw. cenne wynoszące przez pierwsze trzy miesiące 40 tys. a od grudnia 100 tys. zł. w małym tylko stopniu rekompensuje koszty, zważywszy, że spora część uczniów otrzymuje z funduszy szkolnych stypendia. Liceum nie jest dotowane z budżetu. Nie może liczyć na pomoc państwa. To, że funkcjonujemy — mówi dyr. administracyjny Nina Kaneciewicz — zawdzięczamy zycielnym sponsorom, którzy stale lub sporadycznie przysyłają określone kwoty. Np. firma Aleksit, produkująca torby i plecaki — wplaciła na konto szkoły pewną sumę i obdarowała uczniów i nauczycieli plecakami swojej produkcji. Znana firma Westa bezpłatnie ubezpieczyła wszystkich uczniów. Na szkołę wpłacała też osoby prywatne. Są więc chętni, by nas wspomagać. Wpływające sumy są jednak mniejsze od potrzeb. Trzeba więc pozyskiwać nowych ofiarodawców, którzy będą przecież wzrastać — w miarę rozwoju liceum. Trzeba też myśleć o zgromadzeniu funduszy na budowę własnego gmachu na Ursynowie. Inwestycja ta jest społecznie bardzo ważna — byłaby to bowiem jedyna szkoła średnia w tej wielotysięcznej dzielnicy Warszawy.

Okazuje się, że te „oazy na pustyni” i tak ludzie odnajdują. Właśnie kiedy kończy rozmowę z dyrektorką wchodzi kandydatka na „współwłaścicielkę” liceum — matka uczennicy klasy ósmej. Chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej o tej szkole, pragnie w przyszłym roku przysłać tutaj swoją córkę. Pyta czy nie udaloby się od półroczną przeniesić także jej syna, dziś ucznia liceum państwowego. Chodzi do szkoły pod przymusem, zniechęcony, ja nie jest w stanie znieść taktu w klasach, nie ma żadnej motywacji do nauki. Pada odpowiedź, że byłoby to możliwe tylko w wypadku gdyby odpowiedź z obecných uczniów, na co raczej się nie zanoszą.

Kończąc wizytę w tej nietypowej pod wieloma względami szkole pytaniem, które stawia się często nie tylko w środowiskach masowego przekazu. Mianowicie — w czym wyraża się społeczny jej charakter?

— Mówiąc najkrócej w tym — mówi dyrektor Starczewska — że stanowi ona wspólną jakby własność: uczniów, rodziców i nauczycieli. Wspólna jest o nią troska, wspólnie rozwiązują się wszystkie problemy. Władza w szkole ma stać się wybierana przez całą społeczność Rada Szkoła, w której skład wejdą nauczyciele, rodzice i uczniowie. W tym gronie rozstrzygać się będzie w zasadzie wszystkie sprawy, podejmować decyzje. Powołujemy właśnie do życia taką radę, z tej powstanie wieloosobny nadzór nad większymi działaniami i tych dołówek, i tych na większą skalę planów i zamierzeń.

Takie kierowanie szkołą jest najbardziej efektywne, co już w wielu krajach zostało udowodnione. Tylko w naszym kraju ciągle nie mogą szkoły stać się rzecpospolitą uczniów, nauczycieli i rodziców, do czego na tych ławach bezskutecznie namawiamy od wielu już lat.

MARIA RYBARCZYK
Fot. M. Suchecki

MOIM ZDANIEM

APELE NIE WYSTARCZĄ

Zawsze w przeszłości, gdy szkoła polska znajdowała się w stanie zagrożenia — politycznego czy materialnego — odwoływano się do nauczycieli — ich mądrości, odwagi, gotowości do poświęceń. Tak jest i teraz. Bo też nikt przytomny, znający aktualny stan zubożonego szkolnictwa, nie wierzy, że w najbliższych dwu — trzech latach uda się cokolwiek zmienić na lepsze w sferze materialnej. Nic z tego, skoro nie zanoszą się na szybkie wypełnienie państwowej kieszy, zaś zakłady pracy Nielatwo będzie namówić na pomniejszanie własnych zysków.

Nasze apele, jak inne, trafiły w próżnię. Owszem, luzowano leje, ale były to tylko retusze. Sprawy drobne, jednostkowe, nie lub bardzo niewiele znaczą w całości. Naszych apelów nikt nie słuchał — bo wyprzedzały czas. Dziś okazało się, że nie poszły na marne.

W tej sytuacji nie pozostaje nic innego, jak odwołanie się do ludzi, wyzwolenie ich energii oraz ogromnych w tym zawodzie możliwości intelektualnych. Czyli to resort edukacji — i słusznie. — Raz rozwiązując nauczycielom ręce, dwa — zachęcając, aby zrobili z tego użytek. Ankietę ministra Samsonowicza do nauczycieli, aby wypowiedzieli się w wielu ważkich sprawach związanych z reformowaniem polskiej oświaty — wychodzi temu naprzeciw. Oby tylko z tych rad skorzystano, bo nie zawsze tak było.

Jesteśmy całym sercem za takim demokratycznym, a przede wszystkim merytorycznym sensownym rozstrzygnięciem wielkich problemów oświatowych. Od lat pisaliśmy o tym wprost — przekonując i namawiając władze do usamodzielnienia, upodmiotowienia szkół i nauczycieli, do zafantazowania i nie kłopotowania zakazami, i nakazami. Pełna samodzielność niesie z sobą wiele niebezpieczeństw, zwłaszcza w nie najlepszej kadrowej obsadzie szkół. Ale gdyby dokonać rachunku, są one i tak

mniejsze niż te, które niesie system odgórnego sterowania, szczególnie w zawodzie twórczym, jakim niewątpliwie jest zawód nauczycielski. Powtarzaliśmy ciągle: skarb największy, jakim dysponuje polska oświata, to nauczyciele. Gdyby tę energię wyzwolić...

Nasze apele, jak inne, trafiły w próżnię. Owszem, luzowano leje, ale były to tylko retusze. Sprawy drobne, jednostkowe, nie lub bardzo niewiele znaczą w całości. Naszych apelów nikt nie słuchał — bo wyprzedzały czas. Dziś okazało się, że nie poszły na marne.

Jednak apele są zawsze tylko apelami. Nie wystarczą, aby ludzie odpowiadający na nie pracowali twórczo, wydajnie, z pożytkiem dla siebie i młodzieży. Aby wreszcie w efekcie tej pracy otrzymać plon wysoki. Dobra wola, gotowość i pomysły — to dopiero połowa sukcesu, a może trochę mniej niż połowa.

Ta druga tkwi w organizacji pracy, sprawnym, mądrym kierowaniu szkołą, w tworzeniu w niej atmosfery szczególnej, wyzwalającej chęć twórczego działania, poszukiwania. I nie w pojedynkę, lecz razem, w zespole we wspólnocie dusz i mózgów.

Toteż nie mogę uznać za prawdziwą tezę, że marsz do przodu jest trudny dlatego, iż mamy sporo nauczycieli słabych, bez pełnych kwalifikacji.

To, oczywiście, utrudnia postęp, ale o nim nie decyduje. Do rozkładu nas, nie tylko w szkołach, brak dyscypliny i fatalna

organizacja pracy, tracenie sił i czasu — i to ogromnie dużo czasu — na odnalezienie się w dezorganizowanym środowisku pracy. Bieganie, szukanie uzgadnianie, będące dzieckiem ciągłego niedoinformowania. Jeśli dodamy do tego wielką niefrasobliwość w ocenie rzeczywistych umiejętności i wysiłku pracowników, stosowanie w tych ocenach kryteriów dowolnych, dalekich od tych, które dotyczą kompetencji, fachowości — to już mamy pełny obraz zwyrodnienia nie tylko w pracy szkoły, ale też w postawach nauczycieli. Postawach objawiających się w bierności, a często rezygnacji, ucieczki od innowacji, zaniżania ambicji. W myśl zrodzonej w tych warunkach zasady: czy się stoi, czy się leży ileś tam tysięcy się należy...

Jak to się dzieje, że Polacy, wchłonieni w dobry system organizacji pracy, są oceniani bardzo wysoko? Wszędzie, w sprawnie funkcjonującym organizmie — łatwo się przyjmują, tylko nie u nas. U nas zawsze większość pracuje źle. Bynajmniej nie z własnej winy i głupoty. Po prostu — ten nasz organizm tak słabo funkcjonuje, że nie odrzuca marnych pracowników, nie eliminuje niefachowców, nie włącza alarmu, gdy ktoś po prostu knoci lub zwyczajnie nie robi nic. Ten niedoskonały system organizacyjny toleruje zło i w rezultacie z każdą minutą powiększa jego skalę.

Nauczyciele w znakomitej większości pracują dobrze. Nawet ci, którzy mają jeszcze spore braki w wiedzy przedmiotowej czy metodycznej i popełniają błędy — też nie zasługują na złą ocenę. Wszyscy posiadają cechy w tym zawodzie chyba najważniejsze: oddanie dziecku i chęć poświęcenia się dla niego. Służenie dziecku. To ogromnie cenna wartość — i zauważmy — typowa dla polskich nauczycieli. To dzięki nim i naszej szkolnictwo, pracujące przez minione 40-lecie w niezwykle trudnych warunkach, nie zaniknęło całkowicie — jeśli o poziom kształconej młodzieży chodzi — swych lotów. Nauczyciele nie muszą się dziś wstydzić tego, co dali z siebie swoim uczniom.

Zawsze bowiem w tych latach — miłolenni nakazami — tak naprawdę nauczyciele ubezwłasnowolnić się nie dali. Orientowanie się na dziecko, jego potrzeby sprawiło, że inne, żelazane przez władze oświatowe, mogły być albo całkowicie lekceważone albo znaleźć się na dalekim planie. Cokolwiek nauczyciel robi, robi zawsze najpierw z myślą o uczniu, a nie władzy i nakazach. Dotyczy to nie wszystkich bez wyjątku, ale większości — tak.

Te i inne wartości naszych nauczycieli ujawniły badania jeszcze świeże, bo z połowy lat osiemdziesiątych, prowadzone w IKP pod kierunkiem doc. dra Tadeusza Malinowskiego. Jak większość wyników badań z tamtych lat, i te o nauczycielu, dostarczające wiedzy o zawodzie (także o słabościach) — leżą na półkach, niedostępne w szerszym odbiorze. A szkoda, bo warto żeby wszyscy wiedzieli, iż to właśnie nauczyciele, w porozumieniu z innymi zawodami, najmniej stracili w burzliwych latach osiemdziesiątych na swych wartościach etyczno-moralnych, co wyrażało się między innymi w stosunku do obywateli, dyscyplinie, odpowiedzialności. I tutaj także motorem tych postaw było orientowanie się na ucznia i ochrona jego interesów.

Nauczycielom potrzeba jest innego ducha pracy — i to już zaczynamy mieć. Trzeba im zaufać — na to także jest już szansa. Ale trzeba im też tak zorganizować warsztat pracy, aby ci dobrzy mogli w pełni sprawnie działać, nałepsz — triumfować, a całkiem słabi odejść, ponieważ nie zmieszczą się w reguły dobrej roboty. Zatem wypadłoby chyba zacząć od głębokich reform w stylu i mechanizmie kierowania szkołą. Po prostu wymienić go na lepszy.

MARIA POPOWICZ



PUCHIATEK MIESZKA W LASKACH

Laski na skraju Puszczy Kampinoskiej — „ziemia ścieżek wydeptanych stopami niewidomych dzieci”. Na jednej z nich spotkałem kilkunastoletniego chłopca. Szedł do internatu. Nagle zagadnął: — Na kogo pies czeka?

Dopiero teraz zwróciłem uwagę na ujadanie psów gdzieś w oddali. Rozejrzałem się.

— Chyba na robotników. Kręcą się koło obory.

— A do czego służy obora?

Zakład dla Niewidomych w Laskach to kilka placówek oświatowych — przedszkole, dwie szkoły podstawowe (w tym jedna dla dzieci opóźnionych w rozwoju), zasadnicza szkoła zawodowa (ucząca ślusarstwa, szrotkarstwa i dziewiarstwa) oraz liceum zawodowe (przygotowujące specjalistów masażu i elektromontażu).

Przebywa tu stale około 300 wychowanków. Mieszkają w trzech internatach. Najzdolniejsi kontynuują naukę poza Laskami — najczęściej w stołecznych liceach ogólnokształcących: św. Augustyna i siostr Zmartwychwstańek. Dlatego, że obydwie placówki mają internaty i doświadczanie w kształceniu uczniów niewidomych.

Od 1922 roku Zakład w Laskach opuściło ponad 2 tysiące wychowanków, z których 70 proc. przeszło pełne szkolenie zawodowe, 25 proc. zdało egzaminy czeladnicze i mistrzowskie, 20 proc. uzyskało matury licealne i 7 proc. ukończyło wyższe uczelnie. Czym właściwie są Laski? Matka Elżbieta Róża Czarka swe idee wyłożyła w prostych słowach. W tekście programowym z 1936 roku pt. „Truno” napisała:

„Należało przede wszystkim dać niewidomym ideał życia, w którym problem ich własnego cierpienia znalazłby rozwiązanie w nauce Chrystusowej i pozwoliłby im znieść pogodnie kalectwo, świadcząc tym samym o szczęściu większym niż szczęście doczesne. Jednocześnie chodziło o to, by — zgodnie z nowoczesnymi postulatami spraw niewidomych — doprowadzić ich do osiągnięcia maksimum samodzielności i samowystarczalności, do wniesienia tym sposobem częściowej ulgi w cierpieniu, we wspólny dąbek ludzki i przez to samo do podniesienia ich godności człowieka. (...) Włączamy niewidomego w całokształt

spraw ludzkich, nie pozwalamy na izolowanie go jako całkowicie odrębnego typu, ale uznajemy zarazem jego odrębność i jego solidarność ludzką, chcemy wychować go na człowieka pracującego i odpowiedzialnego, mimo że nie negujemy, ale rozumiemy w pełni jego cierpienia i jego trudności.”

Oto lekcja w klasie I szkoły podstawowej (tej „zwyckajnej”). Zajęcia prowadzi wspólnie Lucyna Michalikowa i Jolanta Badeńska. Dzieci — jest ich dziesięcioro (zgodnie z przepisami, klasa w tego typu szkołach nie może liczyć więcej niż dwunastu uczniów) — zasiadły przy długim stole.

Poprzednio były w lesie. Teraz starają się odtworzyć, to co „widziały”. Zadanie szalenie trudne, ponieważ pamięć dotykowa jest ułotna. Do pnia ulepionego z plasteliny dzieci doczepiają liście drzew, akacji, gałązki drzew iglastych. Następnie przenoszą „drzewa” do znajdującej się w rogu klasy piaskownicy — te liściaste mają tworzyć alejkę, iglaste zagajnik. Już samo ustawienie plastelinowego pnia w pionie sprawia sporą trudność. Obydwie panie muszą nieustannie interweniować. Jednocześnie rozmawiają z każdym uczniem o tym co on właśnie robi.

Lucyna Pilaszek, nauczycielka klasy II, w ubiegłym roku zaprowadziła swoich uczniów na wykopki. Zbierali ziemiaki, za wolno jadącą koparką. Potem dla porównania „zobaczyli”, jak wygląda kopanie motyka. Ziemniaki przynieśli do szkoły i przygotowali je do smażenia placek.

Siostra Blanka, nauczycielka języka polskiego i historii, swoje lekcje prowadziła już w Muzeum Literatury w Warszawie, a nawet w zamku malborskim. Warunek zawsze był tylko jeden: przed wyruszeniem w teren zagadnienie musi być doskonale przygotowane. Inaczej przedsięwzięcie miałoby się z sensem. Na przykład przed wyprawą pod pomnik Mickiewicza na stołecznym Krakowskim Przedmieściu zapoznali się z jego miniaturą. Na miejscu dotknęli tylko podstawy. Żeby mieć wyobrażenie o wielkości. W dydaktyce klasowej kluczową rolę odgrywały modele, wypukłe plany, miniatury... Wycieczki mają tę zaletę, że uczą orientacji w terenie.

Ale najważniejszy jest — stosunek nauczyciela do niewidomych uczniów. Zasada indywidualizacji narzuca się sama przez się. Jak mogą traktować jednakowo dwie

dziewczynki — mówi Lucyna Pilaszek — z których jedna jest „weselo ćwierkającym wróbelkiem”, a druga dzieckiem głęboko przeżywającym swoje kalectwo i w dodatku oczekującym na kolejną operację?

Swoich drugoklasistów nauczycielka traktuje jak większą rodzinę. Mieszka na terenie Zakładu. Dom przed uczniami ma zawsze otwarty. Przeżywa ich problemy chyba bardziej niż rodzice, którzy są daleko.

A siostra Blanka mówi wprost: żeby męć wyniki, dzieci trzeba kochać. Ale co to jest miłość nauczycielska? Ciekawita akceptacja dziecka takim, jakie ono jest — odpowiada siostra. Konsekwencją tej postawy jest ciepło, wyrozumiałość i — jak określa moła roznówczyni — dalekomyślność. Pod tym pojęciem rozumie nie oczekiwanie natychmiastowych efektów pracy pedagogicznej. Cierpliwe oczekiwanie to cnota prawdziwego nauczyciela. Żebym jednak nie pomyślał, że Laski to nie zwyczajna arkaadia szczęśliwości, siostra Blanka dodaje, że chodzi tu o dobrą miłość, to znaczy taką, która nie schodzi poniżej określonego minimum wymagań i tolerancji.

Nie może to być też miłość czułościowa — dodaje dyrektorka szkoły podstawowej, Krystyna Broniarz. Do Lasek przyjeżdża go na człowieka pracującego i odpowiedzialnego, mimo że nie negujemy, ale rozumiemy w pełni jego cierpienia i jego trudności.”

Ale jak ta dobra miłość wyraża się na co dzień? — pytam siostrę Blankę. Oto na przykład lekcja. Okazuje się, że uczniowie są nieprzygotowani. No więc co? Stawiać dwie aż się zakurzy? Siostra ma jednak swoje fortele, sprawiające, że nawet na poziomie najnudniejszych zajęć uczniowie się ożywiają. We wszystkich dzieciach drzemie żylka sportowa. Lubią rywalizację, konkursy, zagadki-zgadule. Zamiast więc wywołującego powszechny lek odytywania na początku lekcji nauczycielka obja-



Matka Elżbieta Róża Czarka (1876—1961) niewidoma zakonnica założyła Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża powołując je specjalnie dla służby niewidomym. W 1911 utworzyła Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi, które do dziś pełni funkcję sponsora w Zakładzie w Laskach. Gromadzi ono fundusze na jego utrzymanie. Wśród ofiarodawców poczesne miejsce zajmowała zawsze Polonia.

W 1922 roku matka Elżbieta Czarka zaczęła sukcesywnie przenosić z Warszawy do Lasek szkoły i internaty dla niewidomych dzieci. Wkrótce skupiły się wokół niej wybitne postacie, dzięki którym Laski stały się nie tylko „sercem i sumieniem polskiego katolicyzmu” i „ośrodkiem duchowym” wielu znanych przedstawicieli świata kultury, lecz przede wszystkim zasłużonym ośrodkiem kształcenia i wychowania dzieci niewidomych, w którym ogromną wagę przywiązuje się do fachowości. Pracujący tu nauczyciele i wychowawcy starali się wykorzystywać najnowsze osiągnięcia tyflogologii i tyflopedagogii (typhlos po grecku niewidomy).

Wśród współtwórców Lasek, którzy w okresie międzywojennym podjęli dzieło matki Czackiej byli ks. Władysław Kornilowicz, duchowy kierownik laskowskiej rodziny, dziś kandydat na ołtarze; Antoni Marylski — kierujący pracami budowlanymi; Henryk Ruszczyk — stworzył w Laskach podstawy nowoczesnego szkolnictwa zawodowego; Zygmunt Serafinowicz — długoletni kierownik szkół laskowskich oraz s. Teresa Landy — tyflog i s. Katarzyna Sokolowska — zastępca lekarka.

za „wielką grę”. Pytania są za punkty. Wygrać taki konkurs — o, to wielka satysfakcja. Czasami siostra próbuje też łączyć uczniów w pary, bo „co dwie głowy, to nie jedna”. Przy okazji dzieci nawzajem się uczą.

Ale szkoła to szkoła, musi wykonać określony program dydaktyczny i basta. Natomiast na wychowawców w internacie spoczywają zupełnie inne obowiązki, nie mniej ważne niż na nauczycielach.

W piątkowe popołudnie w internacie dziewcząt krzątałania. Gromadka siostry Agaty — czelnaście dziewcząt w wieku 8—12 lat — sposobi się do wielkiej wyprawy. Wybierają się do Gdańska. Ale, co znamienne, autokaru nikt nie podstawia. Siostra świadomie rezygnuje z wszelkich ułatwień. Wychowankowie będą potem cnie życie przedziwiać się przez tłum, wsiadając z różnych środków lokomocji — wyjaśnia. Muszą oswoić się z tym, czego dla nich nieprzyjaznym, światem.

Pojadą więc autobusem podmiejskim, tramwajem. Na Dworcu Centralnym będą musieli pokonać przejścia podziemne, zjechać ruchomymi schodami na peron. W Gdańsku czeka ich dodatkowo dwukilometrowy spacer. Zatrzymają się bowiem na peryferiach miasta, w domu siostr Franciszkanek Służebnic Krzyża. Powrót już w niedzielę, no bo w poniedziałek lekcje.

Czym są podróże dla niewidomych? Przede wszystkim nauką poruszania się w przestrzeni, ale także zaspokojeniem tkwiącej w nich potrzeby ruchu. Dziewczęta siostry Agaty lubią „podróżować”. Uarla się tradycja, że kilka razy w roku — gdy jest ciepło — wyjeżdżają do Włazowny koło Otwocka — na drakę jednej ze świątecznych wychowawczyń. Przejazd oczywiście miejskimi środkami lokomocji. Wychowanki znają trasę na pamięć. A na miejscu szaleństwo: łożenie po drzewach, wspieranie się na dach domku letniskowego, robizanie namiotu.

— Zabieramy ze sobą stare dresy — dodaje siostra. — Dziewczęta wiedzą że mogą je tam porwać. Wskazują sobie prawo do dzieciństwa, jak wszyscy rówieśnicy.

Poznać zrozumieć świat dźwięka — to oczywiste. Ale to dopiero warunki wstępne — wyjaśnia wychowawczyni. Potrzebny jest bliski kontakt — osobisty, indywidualny. W przypadku dziecka (niewidomego), jest on o tyle ważny, że daje mu poczucie bezpieczeństwa.

Siostra Agata posła jeszcze dalej. Dziewczynki zracają się do niej per „Puchatku”, a nawet „Puchasiu”, czyli faktycznie są ze swoją wychowawczynią na ty. Czy nie cierpi na tym jej autorytet, czy z powodu tego tykania nie wlaży jej na głowę?

— Nie, nie ma w tym żadnego lekceważenia — odpowiada siostra. — Przydomek jest bardzo honorowy, wyraża więc szacunek. A poza tym to „Puchatku” jest ciepłe, familiarne, rodzinne. Te słowa tworzą klimat. Przecież łatwiej zwierzyć się Puchatkowi niż „pani” czy „siostrze zakonnej”. Zwłaszcza, że rodzina daleko. Zresztą jak w jej krótkiej biografii pedagogicznej się dożyło, że zawsze dobrze wychodziła na tym, gdy słuchała dziecka. Było to sześć czy siedem lat temu. Wyprawa przedzłasków na wycieczkę do lasu. Wiodła ich bitymi ścieżkami, dla jej sądziła, lepszego bezpieczeństwa. Wreszcie jakaś rezolutna dziewczynka zagadnęła: Gdzie my jesteśmy? No, jak to gdzie? — odpowiedziała skonfundowana. — W lesie! Ale ja o tym nie wiem — odpowiedziało dziecko.

Ten nawyk wsłuchiwania się w to, co w dziecięcej duszy gra pozostał jej do dzisiaj. Właśnie według życzeń i sugestii dziewczynki urządziła pokoje internetowe. Dawniej były dwie sypialnie trzech pokoi nazywanych był „Sorbona”. Dziewczynki wspólnie lekcje robiły, były się. Nie chciały tej świetlicy, bo chyba za bardzo przypominała dom dziecka. Teraz mieszkają we wszystkich trzech pokojach. Każda dziewczynka ma swoje stałe miejsce, własne szafki, meble, stoliki.

Również wnętrza są domowe, urządzone według pomysłu małych lokatorów. To one z sugerowały wprowadzenie kap i narzut — konieczne z wychowawczy przy do tyku aplikacjami. Tak jak bywa w domu u mamy. Na ścianach pełno różnych lał szmacianych zwierzątek, arlekinów itp.

Jednak podczas II wojny światowej Laski zostały niemal d zniszczone. Na terenie Zakładu odbyły się dwie ciężkie bitwy. Matka Czarka — nie zalamana — rozpoczęła po wojnie swoje dzieło od nowa. Budowa i rozbudowa Lasek trwa do dziś.

Z pewnością życie całej czternastoosobowej gromadki potoczyłoby się inaczej, gdyby siostra Agata dla o określania swego autorytetu potraktowała swoje wychowanie „z gór”. Uważa jednak, że istotą pracy wychowawczej jest nie wieczne karcenie i straszenie, lecz — jak określa — „współ-czucie”, czyli wzajemne przenikanie pragnień i myśli.

Ale nie wszystko jest tak różowe. Siostra zdaje sobie sprawę, że jej praca byłaby o wiele efektywniejsza, gdyby rodzice wykrzesali — siebie chociaż odrobinię wysiłku. Przysyłają dzieci całkowicie „surowe”. Nawet sznurowadła nie potrafią zawiązać. Praca rozpoczyna się więc od początku. Potem, gdy już dziecko zostawia niemal całkowicie wychylając się, a mogłoby na przykład chociażby nauczyć się brajla. Przecież to proste pismo.

Dziesięć starsze chciałoby napisać do rodziców w sprawach osobistych. Może nawet poskarżyć się na swój los. Każdy człowiek ma do tego prawo. A tu trzeba skorzystać z pośredników, którzy występują i za dziecko napiszą. Wiadomo, że takie „filtry” nie służą wyznaczeniu. A jak ważni są rodzice w pracy wychowawczej to i w Laskach widać. Dzieci śpią z listami z domu. Są zlaknione chociażby jednego słowa od mamy, taty.

A poza tym laskowskie życie toczy się jak w rodzinie. Choroby, sprzeciły, kłótnie, a nawet podkochiwanie się w koleżankę z klasy. We wszystkim uczestniczy „Puchatek” — powiernik, lekarz. Zdarza się, że i sam prowokuje do kłótni. Co wy takie grzeczne, potulne, i tylko ciągle „tak. Puchatku, tak”. Pokażcie, że racia po waszej stronie. Tylko jakie macie argumenty? Może mnie przekonacie? Uczyć się mówić „nie” to umiejętność, która przyda się wam w życiu.

Przychodzą też, jak to w rodzinie, i szare dni. Oto dziewczynka nagle zaczyna zdawać sobie sprawę z własnej ułomności. Wpada w głęboką depresję. No i trzeba się teraz gimnastykować, jak postawić dziewczynę na nogi.

Siostra Agata znalazła już swoje miejsce w życiu. O jej zdecydowaniu świadczy wybór kierunku studiów. Obecnie jest na IV roku tyflogologii w Państwowej Szkole Pedagogiki Specjalnej. Ale nie chce, żeby stawała ją na piedestale. Uważa, że jest takim samym człowiekiem jak inni. Ma też swoje chwile słabości. Czasami cała czternastka tak nadkazuje, że jej system nerwowy już nie wytrzymuje. Wtedy zasywa się w kącie i najwyraźniej w świecie po babku poplakać. Ale tak się składa, że po chwili słychać skrobienie do drzwi. Ktoś się skradła i szepcze: Puchasiu, pogodzimy się?

WITOLD SALAŃSKI
Fot. M. Suchecki

Ponad osiemdziesięcioletniego nauczyciela Tadeusza Ławickiego i trzydziestoletniego restauratora Adama Wiśniewskiego łączy nieobojętność na ludzkie losy.

CO MOŻNA ZROBIĆ...?

Sławy w mieście przysporzył mu minister Kuroń. W czasie swych wtorkowych telewizyjnych rozmów wymienił go z imienia i nazwiska. Wyrażnie powiedział, że Adam Wiśniewski — restaurator z Chelmina — wydaje... siedemdziesiąt darmowych obiadów.

W tym momencie pan Adam stał się sławny nie tylko wśród tych, którzy już od dłuższego czasu korzystali z jego pomocy, ale i szerszej publiczności.

Potęę tv czujemy spacerując po chelmińskim deptaku

W takich jak to dwudziestoparotysięcznych miasteczkach wszyscy, którzy w nich coś znaczą na ogół dobrze się znają i wzajemnie popierają. Czasem dla ogólnego pożytku, częściej dla własnej korzyści. Adam był obcy, nie stał. Stał z boku. Teraz Chelminianie poczuli się trochę bardziej dowartościowani, a władze miasta zobligowane do zauważenia tej, do wczoraj, całkiem prywatnej inicjatywy.

Pan Tadeusz Ławicki nie ukrywa, że to on wysłał list do ministra Kurońa. W imieniu oddziałowej sekcji emerytów i rencistów ZNP, której prezekcją Zaprośił ministra do Chelmina. Niech przyjedzie i na miejscu się przekona, co można zrobić, gdy się chce...

★

Zupełnie nie tak go sobie wyobrażałam. Nie wiedzieć czemu posada restauratora, prowadzącego na dodatek dużą akcję charytatywną, nie kojarzyła mi się z młodym, przystojnym człowiekiem w modnym płaszczu z madery którego urzalał przed sobą Raczęj ze starszym, tegawym jeśmłodciem. Nie ma co ukrywać zaskoczył mnie. I jakoś głupio mi było zpytać, skąd u niego pomysły z dobroczynnością, dlaczego to robi?

— Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała.

— Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała.

— Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała.

— Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała.

— Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała.

— Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała.

Dopiero po kilku godzinach niemal mimochodem powie, że nie zawsze był na wozie, że w swoim trzydziestoparoletnim życiu sporo biedy już się najał. Do dziś ma w ustach smak chleba z margaryną, gdy masło było nieosiągalnym marzeniem... Najmłodszą z siódmki rodzeństwa Ojciec umarł bardzo szybko. Matka, żeby trochę dorobić, pracowała dodatkowo przy kampaniach cukrowniczych. Już wtedy postanowił, że jeśli kiedykolwiek sam stanie na nogi, będzie pomagał. Nie z jakichś ideałów, z własnej chęci — mówi dziś — Znalazłem biedy i to wszystkim.

Po studiach na Wydziale Technologii Żywności w Bydgoszczy wyjechał na półtora roku do Stanów. Jako dwudziestoparolatek był już najmłodszym kierownikiem eleganckiej restauracji na Starym Mieście w Toruniu. Ośmiem lat temu przyjechał do Chelmina. Został kierownikiem restauracji i hotelu „Biała” przy głównej ulicy miasta, Dworcowej. Od lipca jest jej agentem. Jakby na potwierdzenie starego porzekadła, że pańskie oko konia tuczy hotel, i restauracja pachną świeżością, zadbanie. O ludzi do pracy w małym Chelminie nieludno. Co raz ktoś chętny przychodzi. Najwięcej kobiet. Żeby choć okna umyć, zarobek z trzydziści tysięcy, dzieciom buty kupić. Dawniej dawała zarobek chelminiankom fabryka akcesoriów meblowych. Teraz sama ledwie dyszy.

— Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała.

— Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała.

— Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała.

— Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała.

— Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała.

— Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała. — Właśnie. O co chodzi? — zapytała.

Czy instytucje powołane do pomocy społecznej mają pełne rozeznanie w sytuacji, czy znają dokładnie skalę potrzeb? — zastanawia się czasem.

Zaczął od tego, że z Ośrodka Opiekuna Społecznego wziął listę podopiecznych i przeszedł się po mieście. Odkrył, że na liście są i takie osoby, które już dawno... nie żyją. Odkrył też kilka osób, którym pilnie trzeba pomóc. Działkowi W. z ulicy Wodnej zorganizował pobyt w szpitalu, wstrząsnął tym co zobaczył w jego mieszkaniu.

Z trudem poruszający się po niemożliwie zagraconej izdebce stary człowiek z otwartymi ranami na nogach. Brud i duchota. Doprowadził pokoił do jakiegoś takiego wyglądu, dał działkowi beliznę i przynosił jedzenie. Dziadek sam nie przyjdzie...

Ale dużo osób przychodzi do „Białej” na pełnowartościową zupę zawsze z jakimś mięsną wkladką. Jedni jedzą na miejscu, większość zabiera w słoikach do domów.

Dotrzymuje obietnicy danej samemu sobie jeszcze w dzieciństwie. I tylko czasem coś nim szarpnie, jak wtedy, gdy w pewnym urzędzie skarbowym zapytano go: a skąd pan ma na te zupy?

Tak naprawdę to każdy agent mógłby tym biednym coś dać — twierdzi. Jeśli gotuje się na trzysta obiadów abonamentowych, to przy dobrych chęciach i kalkulacji spokojnie można i te trzydzieści więcej. Nigdy nie zdarza się sprzedać wszystkiego do końca. Zawsze trochę zostaje. Zamiast wylewać — zgodnie z ubiegłorocznym załączeniem SANEPID — lub odzierać na następnego dnia średnio świeżą zupę — dać ją potrzebującym.

Wiśniewski pierwszą swą „Wigilię dla samotnych” zorganizował w „Białej” pięć lat temu. Stała się tradycją.

Gdy przyszedł lokal w ajencję zwrócił się do mnie — mówi Tadeusz Ławicki. Żeby mu pomóc doprowadzić nadwyżki towaru. — Mam trochę czekolady, kawy, puszek z mlekiem, cukru — powiedział — chciałbym rozdać...

I tak zaczęła się ich współpraca. Oparta na zaufaniu. Bo Adam ma pewność, że to, co daje, trafi za pośrednictwem pana Tadeusza i Sekcji Emerytów i Rencistów ZNP do potrzebujących. A sekcja zdobyła wspaniałego opiekuna i co tu ukrywać — sponсора. Tak naprawdę wcześniej chyba żaden z emerytów nie miał po co wchodzić do „Białej”. To był lokal nie dla ludzi wiecznie starego portfela. Teraz są zapraszani i serdecznie goszczeni. Sami, albo dla sznita, wstępują w roli współgospodarzy, gdy Adam organizuje jakąś większą imprezę dla ludzi z miasta. Dzień Kobiet, Babci, Matki... Kiedyś niezwykle wzruszył starsze panie, wręczając każdej z nich przy takiej miłej okazji po pełnej czerwonej róży. Na wycieczkę do Chelmina zaprosił sześćdziesięciu pensjonariuszy Państwowego Domu Rencistów im. dr. Leona Szumana w Toruniu. Załatwił autokar, przewodnika i dwa posiłki. Potem mówili, że nikt ich tak jeszcze nie ugostił...

Ale pomaga nie tylko ludziom starym, bezradnym, samotnym. Także maluchom z prewentorium w Gluchowie. Co i raz tam jeżdżą z torbą pełną słodczy. Zabrał osiemdziesiątkę dzieci na wycieczkę do Złina, przez Biskupin, Wenecję, Kraszowice, po Gopło — wszystkie sam zorganizował i opłacił. Gościł grupę niewidomych dzieci z podwarszawskich Lasek i sam przy okazji rewizyty — na ich prośbę — zawiózł im ogromny piernik toruński.

Mali podopieczni TPD znajdują w „Białej” nie tylko talerz gorącej zupy, ale i czyste białe obrusy i miejsce przy stole. Stale przychodzi dwadzieścioro dzieci. Często są zmarnięte, wygłodzone. TPD ma pieniądze tyle, co kot napłakał. Szkoły podwyższyły stawki za obiady, co automatycznie skreśliło z listy korzystających tych najuboższych. Zdarza się więc tak, jak ostatnio, gdy dziewczynka rzuciła się na jedzenie z gołymi rękami, nie czekając na sztućce.

★

Adam Wiśniewski ma gest. Ale przede wszystkim — serce. Dla tych niekochanych, z pokrzywionymi już u zrania żyłocyskami, dla chorych, starych, samotnych.

Jak długo wytrzyma? — Póki będą ludzie, którzy zechcą przyjść do „Białej” — słysze.

Nie lubi mówić o sobie. Jest skryty. To pan Ławicki opowiada, chcąc choć w ten sposób odwdziżyć się za domane dobro. Są do siebie podobni. Jak ojciec i syn. Ponad osiemdziesięcioletni nauczyciel Tadeusz i trzydziestoletni restaurator Adam odnaleźli się w pracy wśród ludzi dla ludzi. Łączy ich nieobojętność na ludzkie losy. Często trudne, czasem tragiczne.

To wrażliwość każe pierwszemu, mimo zaawansowanego wieku, zabiegać o pomoc dla tych, którym ciężko.

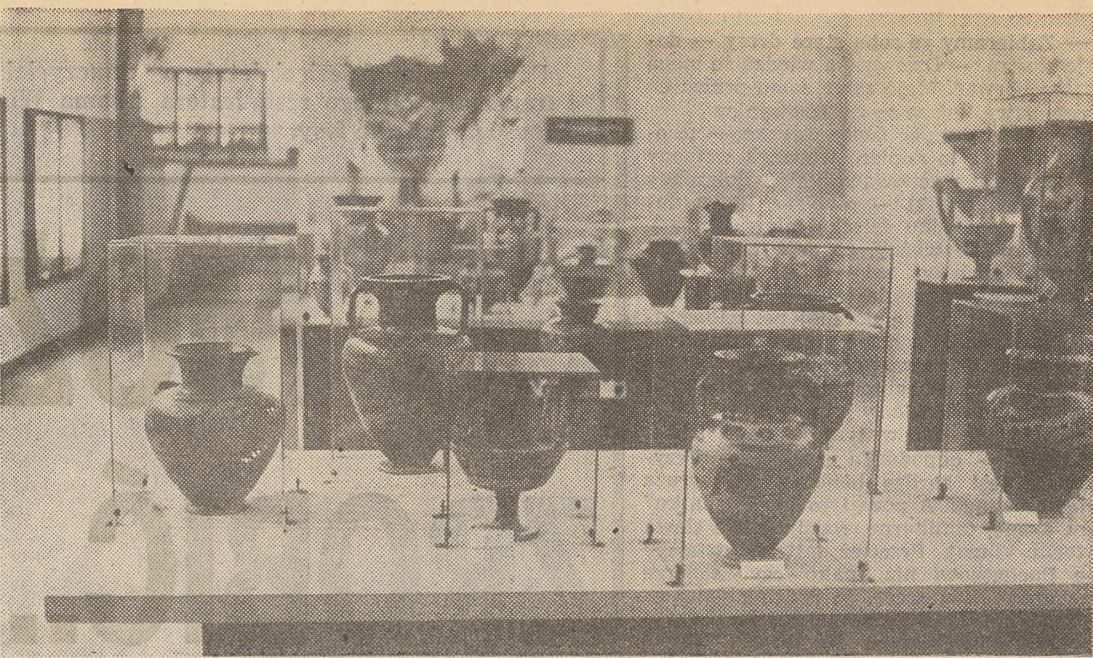
To ona także drugiemu, wbrew złym jezykom dzielić się tym, co zdobył...

HALINA DRACHAL



Pełne ekspresji rzeźby i pogodnie uśmiechnięte młody człowiek w wienku na szyi i w pozycji jakby wesołości, postać z wyrazem twarzy, który może być...

Oprócz waz i dzbanów można obejrzeć wiele innych przedmiotów codziennego użytku. Każdy znalazłby zastosowanie w mieszkaniu każdego oglądającego.



WARTO
KONIECZNIE
ZOBACZYĆ

CHIMERA W WARSZAWIE

Prawdziwa chimera wcale nie budzi strachu. Wyraźnie widać, że zjeżona postawa lwa (miewielkiego zresztą, mniej więcej wzrostu wyłża) ryk wcale nie stanowią demonstracji krwiożęrości, a wyrażają rozpacz, wyrastającą z twięgo erzbietu koki lub szypie się, by wyswob dzię się z przerażającego dła ciała i uciec jak najdalej: zdegradowany do funkcji ogólny waz, któremu natura poskapiła głosu, więc nie może krzykiem wyrażać niezadowolenia z sytuacji — w odruchu bezwzględnej desperacji sięga ład wia psczą do koczego rogu. W sumie — nieszczenie zwierzę (?) budzące szczere współczucie. I jakże różnica między przerażającym, jak ze złego snu malakiem, zapamiętanym z ilustracji zdobawch każdy chyba podrecznik i każda książka o sztuce antyku, a tym, co daje obejrzienie oryginału.

Tak, bo oryginalny brązowy posąg chimery możemy po raz pierwszy obejrzeć w Polsce, w Warszawie, na wystawie otwartej w Muzeum Narodowym (czynna będzie do początków lutego), a przedstawiającej sztukę tajemniczego narodu Etrusków. Kim byli Etruskowie? Tego, tak naprawdę, nikt nie wie. Hipotez jest wiele, łącznie z tą, która łączy ich osiedlenie się w Italii z wędrownymi morskimi jednego z Homerych bohaterów — Eneasza. W każdym razie okres się zgadza w obu przypadkach — Wojny Trojańskiej i pojawienia się na półwyspie Etrusków — w grę wchodzi początek ostatniego tysiąclecia, poprzedzającego naszą erę. Gwoli ścisłości dodajmy, że obecnie przeważa pogląd, iż na te tereny u schyłku epoki brązu przywędrowały plemiona z zewnątrz (może byli to Pelazgowie, zamieszkujący Grecję przed Achajami i Dorami?) i wymieszawszy się z ludnością miejscową — stworzyli naród Etrusków. Naród, ale nie zwarte, scentralizowane państwo.

Italia była wówczas głęboką prowincją cywilizowanego świata śródziemnomorskiego, panował w niej trochę senny spokój i wydawało się, że kilkanaście bogactw, pięknych miast, które wzniesli Etruskowie, może się spokojnie rozwijać bez ochrony, jaką zapewnia silne państwo. Zaspokojeniu potrzeby wymiany surowców i myśli w zupełności wystarczała luźna federacja miast o charakterze religijnym. Układ ten zaowocował rzeczywiście świetnym rozwojem sztuki, architektury, myśli inżynierskiej. Dowodem tego ostatniego niech będzie fakt, że do dziś w skład systemu kanalizacyjnego Rzymu wchodzi fragment, tzw. cloaca maxima, czyli kanał odprowadzający nadmiar wody, zbudowany na rozkaz Etruska, króla Rzymu, Tarquiniusza Starego. A tak koronnym dowodem będzie jak np. świątynia na Kapitolu, jest budowla wzniesiona według trzynastego etruskiego planu. Zresztą też na początku inwazji etruskiego króla Rzymu również Tarquiniusza ale Pysznego.

Brak państwa zmógł się na tym jakże utalentowanym narodzie z chwilą, gdy na zamieszkałe przez nich tereny wkroczyli Latynowie, twórcy późniejszego imperium rzymskiego. Ceniąc i przejmując dorobek kulturalny Etrusków, Latynowie odebrali im kraj. Barbarzyńcy ci wiedzieli, że w obliczu zagrożenia Etruskowie mogą połączyć swe siły, więc umiejętnie podsycałi różne animozje między etruskimi miastami. Słowem — postępowali w myśl znanej dziś powszechnie zasady „divide et impera” — dziel i rządź.

I tak z czasem miasta etruskie upadły, zaginęły nawet język tego narodu, gdyż jego członkowie stali się obywatelami Rzymu, posługującymi się łaciną; sprawa ta, że do dziś nie jesteśmy w stanie zrozumi-



Ten brązowy młodzieniec, fałszywy z pucharem, został wykonany z brązu w Vulci w VI wieku przed naszą erą.



Sylen, powstały prawie 500 lat przed naszą erą, stanowi temat wprost zaczerpnięty z Grecji. Ale jakże różnica w porównaniu ze shierarchizowaną grecką sztuką...



A to zbliżenie fragmentu dekoracji jednej z waz...



Waza z przykrywką liczącą sobie 2 i pół tysiąca lat dziś też świetnie spełniałaby swą funkcję. A jakże uroda... (Bucchero, VI wiek p.n.e.).

mieć żadnej etruskiej Inskrypcji, których odkryto wiele. Pozostały tylko w samym Rzymie, wzniesione według etruskich projektów, budowle i wspaniałe obiekty sztuki i przedmioty użytkowe, które dziś odkopują archeolodzy. Nie wszystkie zresztą w całości zbudowane, odkrywano w nich fragmenty, które byłyby tylko fragmentami. Różne i różne, ale one są od ponad 2 tysięcy lat i tak w naszej wyobraźni zrosły się z Rzymem, że nie zdajemy sobie sprawy, iż stworzyła je kultura starsza od Rzymu o blisko tysiąc lat.

Była to zresztą kultura bardzo otwarta, niekiedy chętnie przyjmująca wszystkie wpływy, wykorzystująca je i przetwarzającą. Etruskowie genialnie adaptowali wszystko, co do nich dotarło z szerokiego świata, sprzyjała temu mnogość ośrodków, brak unifikującego wszystko centrum — stąd mnogość stylów i perfekcja osiągana w wyniku specjalizacji i twórczości. Oczywiście rolę głównego inspiratora spełniała Grecja, ale także np. orient. Dziwne, ale też utalentowany naród samodzielnie niczego nie wniósł do sztuki. Odnawiała się ona przez kontakty ze światem zewnętrznym, z Grecami, nie przez własne odkrycia. Ale w tej specyfic etruskiej dźwięku jej siła, jej zrozumiałość dla współczesnego odbiorcy. Dział to stosunku do dzieła sztuki decyduje jej jakość, a nie przyjęte rozwiązanie stylu. Sprawko to, że Etruskowie urosli w naszych oczach, ceni się ich i rozumie, podobają się.

W Warszawie można obejrzeć dobrze ponad tysiąc eksponatów, 1200 przyjechało do nas, wystawa została wzbogacona eksponatami naszego Muzeum Narodowego. Powstała ekspozycja imponująca, dająca najpełniejsze z możliwych pojęcie o stanie wiedzy ludzi współczesnych o tej tajemniczej, zagubionej kulturze. Tu trudno powstrzymać się przed refleksją: naród, choćby stworzył dzieła niezwykłe, jeśli nie potrafi zachować swej tożsamości, ginie. Dziś wszyscy wiemy, że nauczycielami Rzymian byli starożytni Grecy, ale kto wie, iż w Rzymu chyba stopniowo rolę tę spełniali Etruskowie?... A dowodnie świadczą o tym wystawy.

Do Warszawy przyjechał oryginalny sławnej chimery, choć zabrakło wilczycy. Przyjechały ponadto sarkofagi zdobione przepięknymi rzezbami z terakoty, wiele naczyń kulturowych z brązu, gliny i terakoty, a także różne przedmioty codziennego użytku, ozdoby. I wcale nie jest to wystawa interesująca głównie dla specjalistów. Swego rodzaju „nowoczesność” tych przedmiotów sprawia, że chodzącą po wystawie trudno przy wielu eksponatach oprzeć się odruchowemu „przymierzaniu” waz, pucharów, figurek, ozdobnych zwieńczeń dachówek, różnych uchwytych czy klamek — do własnego mieszkania. Po prawie trzech tysiącach lat od swego powstania zachowały znakomite funkcjonalność, nie mówię już o urodzie.

O ich doskonałości najlepiej świadczy fakt, iż wiele nie zmieniło się do dziś ani na jote. Koński munstus od współczesnego różni się tylko materiałem (któ dziś robi takie rzeczy z brązu) i szlachetną rzemieślniczą robotą. Garnek do gotowania wraz z pokrywką ma identyczny kształt, jak współczesne wyroby z Mysłkowskiej. Jeśli od nich jednak ładniejszy. Różne zapinki, kołczyki, figurki nadają się do tego, by przypiąć je do swetra, postawić na regale. Uroczą starszą pani, której rzeźba dźbobi urnę, zniewala pogodnym, babci-nym, pełnym ciepła i godności wyrazem twarzy: stojąc przed nią odpowiadamy jej uśmiechem nad przepaścią ponad 2 i pół tysiąca lat i odruchowo prostujemy plecy, bo spodziewamy się łagodnego napomnienia: a mówiłam tyle razy, trzymaj się prosto...

Są tacy co twierdzą, że kiedyś może okazać się, iż nasza epoka nie miała najlepszego smaku. Tym pożyteczniejsze jest ćwiczenie go przez obcowanie z przedmiotami naprawdę pięknymi. Chwila zadumy nad tym, co takiego zostanie po nas, z czym za kilka tysięcy lat nasz potomek chciałby obcować na co dzień — także dobrze robi nam, ludziom przeświadczone, że na prawdziwy rozwój monopol mają nasze czasy. Taka refleksja budzi pokorę, a ta nigdy jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Podobne myśli muszą być dość powszechne o tym świadczy fakt, że wystawa nie tylko w Polsce budzi żywą sensację, jest wielkiej wagi wydarzeniem kulturalnym. Prace nad jej przygotowaniem, podjęte z inicjatywą Muzeum Miejskiego w Berlinie (NRD) trwały — z udziałem czterech innych placówek — dwa lata. S-ma ekspozycja do Warszawy przyjechała z Budapesztu, a przed tym była podziwiana w Pradze. Od nas pojechała do Moskwy, Leningradu, później do któregoś z miast RFN, paryskiego Luwru. Czy będzie eksponowana we Włoszech — nie wiadomo; oni mają tam własne wielkie zbiory etruskie.

Dobrze się składa, że w Polsce Etruskowie goszczą w okresie świątecznym, w czasie ferii. To znakomita okazja, by obejrzeć ją wielu nauczycieli. Może warto zorganizować specjalne wycieczki, zarówno młodzieży jak pedagogów... Jeśli już wybieracie się na spotkanie z Etruskami, życzę, by oprowadzał was po wystawie dr Witold Dobrowolski, kustosz działu sztuki klasycznej. Przepięknie opowiada on o tym tajemniczym i ciekawym ludzie i jego sztuce...

MARIA KALIŃSKA
Fot. M. Suchecki

MIĘDZY LEKCJAMI

DLA KOGO TE KSIĄŻKI?

Jak to właściwie jest z literaturą fachową dla nauczycieli? Jedni mówią, że brakuje, że wskazuje się coraz mniej książek pedagogicznych, inni, że wręcz przeciwnie, w każdej większej księgarni polki poświęcone pedagogice i psychologii są pełne. I, co może dziwić — ale jak się zaraz okaże tylko pozornie — jedni i drudzy mają raczej Otóż faktycznie, literatury przeznaczonej dla nauczycieli na pewno nie brakuje — ale tylko w sensie ilościowym. Bo jakie to są pozycje? Niestety, najczęściej podejmujące jakiś wąski, pojedynczy problem, interesujący tylko nieliczną grupę nauczycieli lub temat mało istotny dla praktyki szkolnej. I ten język! Oto problemka. „Optymalizacja to nie tylko wskazywanie kierunków działań optymalizacyjnych, lecz głównie ustalanie zmiennych decyzyjnych oraz zmiennych ograniczających obszar poszukiwania rozwiązań optymalnych”. Autor tego cytatu zapewne zaryzykował mi manipulację poprzez wyrażenie zdania z kontekstu, ale doprawdy, cały tekst jest napisany, takim właśnie, pokraczającym stylem!

Inny mój autor, potrzebuje takiego oto wyciągu, aby dowiedzieć niezwykle odkrywcęgo stwierdzenia, iż telewizja może pełnić różne funkcje. „Z przyjęcia ogólnego założenia, że funkcja to każde, dające się wyodrębnić działania każdego dającego się wyodrębnić elementu oraz zestawienia go ze stwierdzeniem, iż to przekazujące różnorodne treści symboliczne jako elementy świata przedstawionego, wykonuje różnorodne działania, wynika wniosek generalny, że telewizja pełni różne funkcje”. Ciekawe czy sam autor rozumie o co mu chodzi...

dzi, toż to już nie język a belkot! Tak proszę państwa, pisze się u nas dla nauczycieli... I potem stawia się im zarzut, że mało czytają, że są niedouczeni — a co mają czytać? Czy młotająca się między godzinami i nadgodzinami w szkole oraz, jakże uciążliwymi w dzisiejszych czasach, obowiązkami domowymi nauczyciela, ma czas i siły na rozgrzanie zawitych stwierdzeń, zawartych w opasłych dziełach pedagogicznych (niektórzy, raczej — pseudo-pedagogicznych...)? Takie u nas teraz ogromne kłopoty z papierem, a wydaje się tyle niepotrzebnych nikomu, nie czytanych przez nauczycieli książek. Czego zaś brakuje? Tego, czego najbardziej potrzeba w szkole, czyli prostych opracowań metodycznych, konkretnych propozycji realizacji różnych tematów, przykładowych rozkładów materiałów (ale, na Boga, po ludzku pisanymi, w układzie tematycznym, a nie rozbudowanych na kilkanaście stron rubryk, maczkami wypełnionych — potem trzeba jeszcze pisać „rozkład z rozkładu”, aby wiedzieć, czego uczyć na poszczególnych lekcjach).

Dlaczego tak ciężko u nas o takie opracowania? Z kilku powodów, zaś przede wszystkim dlatego, że... nie ma komu ich pisać. Naukowcy-pedagodzy jak ogma tego unikają, bo po pierwsze, po prostu nie umieją pisać opracowań metodycznych (do tego trzeba dobrze znać praktykę szkolną) a po drugie, za to nikt stopnia nie da. Jak wiadomo istnieje w Polsce taki system awansów naukowych, który wymusza pi-

LECHOŚLAW GAWRECKI

REFLEKSJE POD CHOINKĄ

Było to równo rok temu. Ostatni dzień przed świąteczną przerwą. Późne popołudnie, szkoła już opuszczała. Siedzimy w gabinecie dyrektora tego liceum, w niedużym, uzdrowskim mieście. Mała choinka na biurku przypomina, że Boże Narodzenie tuż, tuż. Ale nastroj taki, że jakoś człowiekowi nigdzie nie spieszą...

Starszy pan jest bardzo przywiązany do swojej szkoły — w tym ogromnym, pomnikowym gmachu, spędził całe swoje dotychczasowe życie, w sumie już blisko 40 lat! Kto dziś tak długo pracuje w szkole? Z nieklamną dumą pokazuje swoje gospodarstwo. A ma się czym pochwalić. Liczne, dobrze wyposażone gabinety, aula, jaką rzadko dziś można oglądać w szkołach, sala gimnastyczna, świetlica, klub — uszczegółnić to, co po prostu powinno być. Wszędzie

czysto, ład, porządek. I największa duma dyrektora — autentyczne obserwatorium astronomiczne!

Ile szkół w Polsce dysponuje takim cudem? Skupił wokół tego obserwatorium zapal zarówno rodziców jak i młodzieży. Ojcowie, fachowcy różnych branż społecznie budowali, ich dzieci z tego teraz korzystają. Z jakim przejęciem patrzy się godzinami w gwiazdy, gdy ma się 16 lat... Dyrektor, sam wielki entuzjasta astronomii, to rozumie u końca dla nich wybudował tę kopułatę wież, dla nich tracił wiele godzin na zdobywanie pieniędzy i sprzętu.

I co z tego dziś ma? Ano, niewątpliwie przywiązanie i wdzięczność młodzieży, szacunek rodziców. To dużo, bardzo dużo. Ale jednak nie wszystko. Chciałoby się też uz-



zanie przez całe życie odwołujących opracowań po to, aby otrzymać stopień. Ba, taki naukowiec, który mimo wszystko pisze metodycznie, jest w swoim środowisku człowiekiem podejrzany, ma opinię takiego, co to może i cęciawie pisać, ale to przecież jest mędrówka, nie nauka, więc jest to jakby podręcznik drugiej kategorii.

A to, że właśnie jego książki nauczyciele czytają, że jego propozycje okazują się być przydatne w praktyce, traktuje się z lekceważącym wzruszeniem ramion. I tak oto, kulinie u nas twórczość pedagogów dla pedagogów (naukowców), obywateli zaś traktowana przez nauczycieli, jako zupełnie im nieprzydatna. U nas pisze się książki o celach kształcenia (przykładzie zupełnie dowolnym — bez jakiegokolwiek aluzji!), w której na wielu stronach pisze się o różnych aspektach teoretycznych tych celów, przedstawia się wielostronową ich klasyfikację, której — jak sądzę — sam autor nie odwozuje z pamięci, a co dopiero nauczyciel, który miałby je stosować w praktyce. A na Zachodzie w takiej książce podaje się prostą klasyfikację, a następnie szeroko pisze o tym, jak te cele formułować w odniesieniu do konkretnego tematu, a przede wszystkim — jak je realizować na lekcji!

Znam dobrze środowisko naukowe i wiem, z jakimi mogą się spotkać kontrargumentami — musimy podnosić poziom naukowy nauczycieli, nie można iść na łatwiznę i zachęcać do powielania wzorów, nauczyciel powinien być intelektualistą i sam tworzyć metodykę, oczywiście w oparciu o nasze, mądre, teoretyczne rozważania itd. A, że nie chcą kupować i czytać naszych książek, to tylko źle o nich świadczy.

A ja myślę, że niedługo problem sam się rozwiąże. Jeśli wydawca będzie autentycznie tracił na książkach — bublach, zacznie publikować tylko takie prace, na które będzie popyt i wtedy dopiero ujdzie się sporych książek mędractw, przydatnych nauczycielom. Tylko za co wtedy będzie się nadawać stopnie naukowe?

nania zwierchników, docenienia niezwykłego przecież w dzisiejszych czasach przywiązania do swojego miejsca pracy. Tymczasem przedstawiciele władzy szkolnej traktują dyrektora — zapaleńca jak nieszkodliwego wariatka, w naderstym razie z pobłażliwym poklepywaniem.

No dobrze, dobrze ale kto tam pilnie młodziuży w tej wieży? Jak się za to pisać, bo przecież niemożliwe aby to robić tylko z miłości do gwiazd i młodzieży? A rachunekki za sprzęt w porządku? Więc dyrektor skręca przed nimi, że po nocach z młodzieżą obserwuje niebo — przepis takich zajęć nie przewidują, a jeszcze do niedawna padły imy zarzut — czy to aby nie jaka konspiracja? Pomocy od władz żadnej, uznania wcale, za to od czasu do czasu tłumaczą się trzeba...

Albo aula — ogromne pomieszczenie, właśnie po remoncie, prezentuje się uspaniałe, Gustowna boazeria, odpowiednie do radości oświetlenie, pełne zaplecze dla sceny (bo w szkole działa teatr amatorski z wielkimi tradycjami). Ile czasu i zdrowia musi dziś kosztować taki remont? I jedyny komentarz pana wizytatora — no, ale podłoga wydeptana... Faktycznie, po kilku dyskotekach i innych imprezach, świeża nie była. To co — zastanawia się — miałem tę aulę zamknąć i otwierać tylko podczas wizytacji?

Więc dyrektor jest rozgorzeczony. Właściwie — jak sumuje długie lata pracy — stale go nosilo, zawsze coś musiał organizować, modernizować, wymusić. I nigdy nie spotkało go za to jakieś istotne wyróżnienie, kłopotów zaś nie brakowało — wiadomo, błędów nie popełniając ci, którzy nic nie robią. Na emeryturę przedzie uprawdzia z przekonaniem, że za był sobie sympatię licznych wychowanków i ich rodziców, ale jednak z rozczuciem niedocenienia. Pełnie przewidzie ktoś z kuratorium, złoty zdawniowiec nauczyciela, kwiatek może i stał nagrodą, ot tak bzduręmu długoletniemu dyrektorowi, oddającemu na emeryturę, kwiatów i listów, który niczym się nie wyróżnił...

Od tamtego spotkania minął już jakiś Boże Narodzenie. Znam ten nasz świat, niający do refleksji i zamyślenia, i z siebie myślę — coraz mniej jest radości i li-en'uzjas'ów, tych, którzy nie spuszczają swego czasu i sił dla uczynku. I co z tego mają? Pretensje najbliższych, którzy czują się zaniedbani i lekceważeni zwierzchników, których nie stać czasem na zwrócić podziękowanie. Czy to tak trudno publicznie wyrazić uznanie, dać większą niż innym nagrodę, podkreślić szacunek dla zapalu i zdwojonego wysiłku?

Miałoby być świątecznie i nastrojowo, wyszło trochę refleksyjnie i smutno. Ale czy takie właśnie nie jest całe nasze życie?

Z KATARZYNA SKÓRZYŃSKĄ, pełnomocnikiem ministra do spraw bezpośrednich kontaktów ze szkołami rozmawia Wojciech Sierakowski

W GÓRĘ CZY W DÓŁ?

— Nazwa Pani funkcji może skłaniać do przypuszczenia, iż pełni Pani rolę jakiegoś pasa transmisyjnego. W którą stronę on pracuje: w górę czy w dół?

— W obu kierunkach. W górę staramy się dostarczać ministrowi informacji o tym, czego oczekują od resortu nauczyciele, z jakimi inicjatywami, pomysłami się noszą, w dół natomiast płyną wiadomości o kolejnych uprawnieniach przekazywanych środowisku przez nowe kierownictwo MEN. Bardzo ważne jest bowiem, aby nauczyciele mieli pełną świadomość możliwości nie tylko bezpośrednich kontaktów z ministrem, ale jednocześnie coraz szerszych uprawnień jakie są im przysługujące. Docierają do nas głosy, że środowisko niestety odczuwa brak informacji o kierunkach polityki ministerstwa, jej celach itp. Wiemy, iż także liczni dyrektorzy szkół i placówek oświatowo-wychowawczych, którzy chcieliby przestawić je na nieco nowocześniejsze tory — większej samodzielności i odpowiedzialności zarazem — nie bardzo orientują się, co im wolno a czego nie.

— A więc — skrzynka kontaktowa dla tych, którzy chcieliby działać inaczej niż wcześniej?

— W największym skrócie rzecz ujmując — właśnie tak widzę swoją rolę w ministerstwie. Moją i całego naszego zespołu, który obecnie rozbudowuje się kadrowo. A dzieje się tak dlatego, że przybywa nam zgłoszeń nauczycieli, którzy pragnęliby realizować własne programy autorskie, działać innowacyjnie. Coraz częściej zasięgają u nas informacji także dyrektorzy szkół, którzy chcieliby skorzystać z większej samodzielności. Co interesujące — zgłaszają się również rodzice, którzy uważają, że ich dotychczasowy

wpływ na funkcjonowanie szkół był zbyt ograniczony.

— Nauczyciele niezbyt chętnie godzą się na ingerencję „obcych” w sprawy szkoły...

— Liczne doświadczenia podpowiadają, że jeśli postulaty rodziców nie ograniczają się jedynie do żądań, ale służą także wspomaganie szkoły, wówczas ich inicjatywy są na ogół akceptowane przez rady pedagogiczne i dyrekcje szkół. Mamy coraz więcej przykładów dobrej współpracy na tym polu. Powstają rady rodziców przy szkołach podstawowych w Warszawie i liceach ogólnokształcących w Poznaniu. Chcą one być ciałami całkiem innymi od dotychczasowych komitetów rodzicielskich, pragną w porozumieniu z nauczycielami przygotowywać projekty zmian w funkcjonowaniu szkół, mieć wpływ na wprowadzanie bądź likwidowanie niektórych przedmiotów, jak również na wychowywanie młodzieży.

— Czego, oprócz informacji, mogą oczekiwać od was wasi „interesanci”?

— Wsparcia pod każdym względem. Na przykład dyrektorzy szkół często przychodzą do nas po swego rodzaju potwierdzenie, że to, co robią jest całkowicie legalne, mieści się w ramach obowiązujących przepisów, ma „błogosławieństwo” ministerstwa. I ja je im, w imieniu ministra Samsonowicza, wydaję. Udzielamy też pomocy tym wszystkim, którzy nie mogą sobie poradzić z różnymi przeciwnościami na szczeblu lokalnym, szukają jej właśnie w ministerstwie.

— Na adres waszego zespołu nadchodzą też nauczycielskie autorskie programy nauczania. Ile z nich otrzymało zgodę ministerstwa, jaka jest ich geografia, czego dotyczą?

— Pierwszy program autorski wpłynął do MEN w lutym bieżącego roku, do chwili obecnej ministerstwo wydało zgodę na realizowanie 28 programów autorskich. Dotyczą one zarówno przedmiotów humanistycznych jak i ścisłych. Programy te są bardzo różne: od prostych począwszy, w których zastosowano kryterium minimum programowego, a na bardzo ambitnych skończywszy. Mamy także programy autorskie całych szkół, przewidujące zmiany planów nauczania, zwiększenie czasu przeznaczanego na wyrabianie umiejętności samodzielnego myślenia itp. Tu prym wiodą szkoły społeczne. Niektóre z ich programów chcielibyśmy nawet upowszechnić, by tym samym zainspirować nauczycieli ze szkół państwowych. Myślę, że w tym przypadku szkoły społeczne mogą być bardzo dobrym swego rodzaju laboratorium organizacyjno-programowym.

— Z jakich szkół pochodzi najwięcej programów autorskich?

— Przeważają licea ogólnokształcące, w których ten ruch innowacyjny jest najsilniejszy. Najbardziej przy tym aktywne są szkoły w dużych aglomeracjach, ale mamy zgłoszenia także z małych ośrodków. Wyraźnie w tyle pozostały niestety szkoły podstawowe. Myślę, że dzieje się tak dlatego, że wielu nauczycieli po prostu czeka na opublikowanie ministerialnego minimum programowego dla poszczególnych przedmiotów. Zależy nam, by właśnie teraz ten ruch rozwinął się szerzej. Chodzi o to, by do końca pierwszego kwartału projekty zmian mogły być przyjęte, zaś ich realizacja rozpoczęła się od nowego roku szkolnego.

Właśnie dlatego szczególnie zachęcam do lektury listopadowego zarządzenia ministra o innowacjach pedagogicznych. Stwarza ono możliwość przeprowadzenia w szkołach prawie wszelkich zmian: począwszy od zmiany godzin, a na likwidacji niektórych przedmiotów skończywszy. Oczywiście pod warunkiem zaakceptowania ich przez radę pedagogiczną.

— Wspomniała Pani o szkołach prywatnych, których doświadczenia mogą być przydatne dla placówek państwowych. Problem w tym, że jest ich nadal mało, są coraz droższe, wiele wskazuje, że nie będą się rozwijać tak dynamicznie, jak wstępnie przypuszczano. Przynajmniej w najbliższym czasie.

— Istotnie, nie jest ich jeszcze wiele. Ogółem mamy w kraju około 20 społecznych szkół podstawowych i 12 liceów ogólnokształcących. Łącznie uczy się w nich kilkuset uczniów. Nie ma w tym gronie jak dotąd ani jednej placówki zawodowej.

— Z jakimi problemami borykają się te szkoły?

— Przede wszystkim lokalowymi i finansowymi. Niektóre z nich pracują w bardzo trudnych warunkach, te działające w mieszkaniach prywatnych spotykają się niekiedy wręcz z niechęcią sąsiadów narzekających na zbyt duży, ich zdaniem, hałas. Z naszego rozeznania wynika, że pomoc obiecwana tym szkołom w momencie ich rozruchu przez różne instytucje, dziś w rzeczywistości odbiega od pierwotnych deklaracji. Zdarza się niestety, że sponsorzy wręcz wycofują się z „piacu boju”. Niewątpliwie w najlepszej sytuacji znajdują się te szkoły, które opierają się o specjalnie powołane na ich rzecz fundacje. W szkoły społeczne uderzają także skutki inflacji, która powoduje, że czesne waha się od 30 do ponad 100 tys. złotych miesięcznie. Myślę, iż najbliższe miesiące będą dla niektórych z tych szkół bardzo trudne, być może nawet będą zmuszone zawiesić swą działalność. Co byłoby bardzo niekorzystne, bowiem są one niezwykle cenne właśnie ze względu na innowacyjność.

— Czy w związku z tym MEN nie zamierza im pomóc?

— W ministerstwie rozważane są propozycje wspomożenia szkół społecznych. Jakką to przyjmie formę jeszcze nie wiadomo. Na przykład dyskutuje się, czy ewentualne dofinansowanie kierować bezpośrednio do placówek, czy też organizacji społecznych je prowadzących, czy dotować rodziny placące czesne, czy pensje nauczycieli, od których to czesne jest także zależne. Myślę, że warto tu wspomnieć o energicznie nawiązywanych kontaktach z zagranicznymi społecznymi towarzystwami oświatowymi. Mogą one także zaowocować pewnym wsparciem dla polskich szkół niepaństwowych.

Dziękuję za rozmowę.

UWAGA

Wszystkie osoby zainteresowane wprowadzaniem własnych programów autorskich, nowych rozwiązań dotyczących funkcjonowania szkół, założeniem szkół niepaństwowych MEN prosi o zgłaszanie się we wtorki i czwartki w godz. 9—14 do Sekretariatu Zespołu, pokój 225 tel.: centrala 280461, 297241 w. 107. Zespół udziela również informacji drogą korespondencyjną. Listy kierować pod adresem MEN.

ZARZĄDZENIE NR 62 MINISTRA EDUKACJI NARODOWEJ

W SPRAWIE ZASAD PROWADZENIA PEDAGOGICZNEJ DZIAŁALNOŚCI INNOWACYJNEJ W SZKOŁACH I INNYCH PLACÓWKACH OŚWIATOWO-WYCHOWAWCZYCH

Paragraf pierwszy zarządzenia podaje podstawę prawną a ponadto objaśnia znaczenie terminów: eksperyment, nowatorstwo pedagogiczne, klasa autorska, szkoła. Wychodząc z założenia, iż są one dobrze znane i rozumiane w środowisku nauczycielskim zrezygnowaliśmy z publikowania tej części zarządzenia.

§ 2.1. Przedmiotem eksperymentu lub nowatorstwa pedagogicznego w szkole mogą być zagadnienia programowe, metodyczne i organizacyjne.

2. Eksperyment i nowatorstwo pedagogiczne mogą obejmować problematykę dydaktyczną, wychowawczą i opiekuńczą, nauczanie jednego, kilku lub wszystkich przedmiotów, całą szkołę lub jej część (oddział lub ciąg klas).

3. Szkole, w której eksperyment obejmuje cały system dydaktyczno-wychowawczy, może być nadany na czas określony statut odmienny od statutu określonego dla tego typu szkół.

§ 3.1. Eksperymenty w szkołach mogą być organizowane przez szkoły, szkoły wyższe (instytuty szkół wyższych), placówki naukowe Polskiej Akademii Nauk (PAN), jednostki badawczo-rozwojowe, instytucje prowadzące statutową działalność naukowo-badawczą oraz organy nadzorujące szkoły.

2. Nowatorstwo pedagogiczne w szkołach może być organizowane przez nauczycieli

oraz pracowników jednostek organizacyjnych, o których mowa w ust. 1.

§ 4.1. Udział nauczycieli w eksperymentach lub nowatorstwie pedagogicznym odbywa się na zasadzie dobrowolności z zastrzeżeniem ust. 2.

2 Rada pedagogiczna szkoły może określić zakres udziału szkoły i poszczególnych nauczycieli w eksperymentach lub nowatorstwie pedagogicznym.

§ 5.1. Eksperymenty i nowatorstwa pedagogiczne obejmujące zagadnienia metodyczne i organizacyjne w ramach obowiązujących planów i programów nauczania, mogą być podjęte za zgodą dyrektora szkoły w porozumieniu z radą pedagogiczną.

2. W przypadku prowadzenia nowatorstwa pedagogicznego, o którym mowa w ust. 1, obejmującego jeden przedmiot nauczania, wystarczające jest poinformowanie o tym dyrektora szkoły i rady pedagogicznej.

3. Eksperymenty i nowatorstwo pedagogiczne obejmujące zagadnienia programowe mogą być prowadzone w szkołach tylko za zgodą ministra edukacji narodowej.

§ 6.1. Warunkiem uzyskania zgody na prowadzenie eksperymentu w szkole jest przedłożenie jego założeń ministrowi edukacji narodowej lub właściwemu dyrek-

torowi szkoły, w której przeprowadza się eksperyment oraz zapewnienie przez organizatorów eksperymentu środków finansowych.

2. W założeniach, o których mowa w ust. 1, należy określić związki celów eksperymentu z generalnymi założeniami systemu edukacji narodowej, etapy realizacji, materiały pomocnicze dla uczniów i nauczycieli, przewidywane skutki pedagogiczne, badania towarzyszące, formy dokumentacji oraz formy i zakres współdziałania ze szkołą.

3. Wydający zgodę na prowadzenie eksperymentu może zażądać od organizatorów udostępnienia wyników.

§ 7. Wnioski o wyrażenie zgody na prowadzenie eksperymentów i nowatorstwa pedagogicznego w nowym roku szkolnym, obejmujących zagadnienia programowe, należy składać w Ministerstwie Edukacji Narodowej w terminie do 31 marca. Do wniosku należy dołączyć projekty planów i programów nauczania. Zgody na prowadzenie eksperymentów wydawane są do 1 czerwca.

§ 8. Po zakończeniu (przerwaniu) eksperymentu i nowatorstwa pedagogicznego ich organizatorzy powinni dokonać analizy i oceny wyników. Ocena wraz z wnioskami powinna mieć formę pismnego sprawozdania.

§ 9. Upowszechnianie wyników eksperymentów i nowatorstwa pedagogicznego odbywa się za zgodą ich autorów.

§ 10. Organy nadzorujące szkoły oraz dyrektorzy szkół zobowiązani są do wspierania twórczych inicjatyw nauczycieli, a w szczególności:

1) organy nadzorujące szkoły zobowiązane są do:

a) udzielenia pomocy w uzyskaniu środków finansowych na wydatki związane z eksperymentami i nowatorstwem pedagogicznym;

b) pomocy w organizowaniu klas autor-

skich, klubów, sekcji przedmiotowych, zespołów specjalistycznych i innych form mających na celu wymianę doświadczeń nauczycieli i szkół;

c) inicjowanie współpracy nauczycieli i szkół z pracownikami szkół wyższych (placówek PAN, jednostek badawczo-rozwojowych);

d) popularyzowania nauczycieli i szkół prowadzących eksperymenty i nowatorstwo pedagogiczne;

2) dyrektorzy szkół zobowiązani są do:

a) uzupełniania wyposażenia w środki dydaktyczne niezbędne w planowanym nowatorstwie pedagogicznym;

b) udostępniania środków i materiałów oraz pomieszczeń na spotkania i konsultacje (konferencje)

c) przekazania informacji o eksperymentach i nowatorstwie pedagogicznym do jednostki organizacyjnej wskazanej przez kuratorium oświaty i wychowania w formie karty tematycznej według wzoru stanowiącego załącznik do zarządzenia.

§ 11. Traci moc zarządzenie ministra oświaty i wychowania z 27 sierpnia 1982 r. w sprawie zasad prowadzenia badań i eksperymentów naukowych nowatorstwa pedagogicznego w szkołach i innych placówkach oświatowo-wychowawczych oraz wdrażania i upowszechniania ich wyników (Dz. Urz. MOiW nr 11, poz. 105).

§ 12. Zarządzenie wchodzi w życie z dniem ogłoszenia

PROF. DR HAB. HENRYK
SAMSONOWICZ
MINISTER EDUKACJI NARODOWEJ

16 listopada 1989 r.

BIURO PODRÓŻY I TURYSTYKI ZNP „LOGOSTOUR” ZAPRASZA!

Na zimowy wypoczynek do Bulgarii i Czechosłowacji. Zapewniamy odpowiednie warunki do uprawiania narciarstwa zarówno w górach Rila jak i w czeskich Tatrach.

W Bulgarii proponujemy 10 dniowe pobyty w Sofii z codziennym dojazdem autokarem na stoki Witoszy. Zakwaterowanie w hotelu, w pokojach 2 i 3-osobowych, ekwiwalent za całodzienną wyżywienie, abonament na wyciągi na trasy narciarskie. Dojazd indywidualny.

W Czechosłowacji proponujemy 7 dniowe pobyty w Starej Lesnej — rejon Tatr Wysokich. Kwatery prywatne, pokoje 2 i 3 osobowe, część posiłków na talony, część — ekwiwalent.

7 dniowe pobyty w miejscowości Vysna Boca — Tatry Niskie. Zakwaterowanie w kwaterach prywatnych, pokoje 2 i 3 osobowe, ekwiwalent za wyżywienie.

Uczestnicy wszystkich imprez otrzymują ekwiwalent na wyciągi narciarskie. Szczegółowych informacji dotyczących terminów, programów oraz cen udzielają jednostki „Logostour” na terenie całego kraju.

Życzymy miłego zimowego wypoczynku z „Logostourem”.

OGŁOSZENIA DROBNE

Młode małżeństwo (mgr rehabilitacji ruchowej, kultura fizyczna) poszukuje pracy z mieszkaniem.

M. B. Jakubowscy, Wojciechów 50a/2, 58-536 Lubomierz, woj. jeleniogórskie 412

Nauczyciel (mgr) matematyki, języków poszukuje pracy. 97-140 Koluszki, skrytka 41.

413

INSPEKTOR OŚWIATY I WYCHOWANIA w Lubieniu Kuj.

zatrudni natychmiast

psychologa do pracy w nowo utworzonej Poradni Wychowawczo-Zawodowej. Bliższe informacje pod tel. 20 lub 155 Lubień Kujawski.

K-408

Z głębokim żalem zawiadamiamy że dnia 12 listopada 1989 r. zmarła w wieku 76 lat

KOLEŻANKA MICHALINA SKRZYPEK

nauczycielka tajnego nauczania oraz wieloletnia nauczycielka szkół sztumskich i Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Barcicach.

W zmarłej tracimy serdeczną Koleżankę i Przyjaciela młodzieży.

Zarząd Oddziału ZNP, Sekcja Emerytów i Rencistów w Sztumie.

K-411



„NAUKA„ S.A. PRZEDSIĘBIORSTWO USPOŁECZNIONE

OFERUJE DO SPRZEDAŻY

trzygodzinne kasety magnetowidowe VHS z filmami dla szkół podstawowych do przedmiotu biologia

KASETA I KL. V

- | | |
|--|--------------------------------------|
| — różnorodność organizmów jednokomórkowych | — rak i inne skorupiaki |
| — życie glonów | — różnorodność form w świecie owadów |
| — jamochłony | — w świecie owadów wodnych |
| — płazińce | — czy zawsze szkodnik |
| — obleńce | — ochrona roślin przed szkodnikami |
| — pierścienice | — obrońcy naszych sadów |
| — ślimaki | — ośmioonożni drapieżcy |

KASETA II KL. VI

- | | |
|---|--|
| — Pieniński Park Narodowy | — jaszczurka zwinka |
| — w Tatrzańskim Parku Narodowym | — ryby naszych wód |
| — Puszcza Jodłowa — Świętokrzyski Park Narodowy | — przystosowanie ptaków do środowiska |
| — Wielkopolski Park Narodowy | — rozwój mchu |
| — nasze góry i plaży | — z życia kwiatów |
| — naszkroniec | — gospodarka wodna roślin — transport wody |
| — dlaczego chronimy ropuchę | — ochrona gleby |

KASETA III KL. VII

- | | |
|---|--|
| — goryle | — zielen w mieście |
| — antropogeneza | — o równowadze biologicznej jeziora |
| — dlaczego krew krzepnie? | — wymiana gazowa u roślin |
| — praca zastawek serca | — wymiana gazowa u roślin i zwierząt |
| — organizm człowieka w walce z bakteriami | — układ krwionośny zwierząt — transport gazu |
| — wpływ środowiska na rozwój embrionalny | — o równowadze biologicznej jeziora |
| — od odruchu do neuronu | |

Filmy są zatwierdzone do użytku szkolnego przez Komisję Ocen Pomocy Nauczycielskiej Ministerstwa Edukacji Narodowej.

Sprzedają prowadzi i informację udziela Przedsiębiorstwo Uspołecznione „NAUKA” S.A. 00-654 Warszawa, ul. Śniadeckich 17, tel. 29-20-41 lub 21-98-65 oraz wszystkie Przedsiębiorstwa Zaopatrzenia Szkół „CEZAS” w całym kraju.

K-409

GARŚĆ PIECZONYCH KASZTANÓW

CD ZE STR. 3

łeczną, moralną powinnością pisarza jest dziś obecność na spotkaniach w środowiskach małomiasteczkowych i wiejskich, do których książki (poza podręcznikami) już dziś nie docierają. W środowiskach tych szerzy się wtórny analfabetyzm!

— Żywe reagowanie na to zjawisko to powinność nas wszystkich! I twórców, i pedagogów, i dziennikarzy... Wiem, że jest pan nie tylko nauczycielem i poetą, ale także redaktorem...

— Tak, pracuję nie tylko w Studium Kultury i Języka Polskiego dla Obco krajowców KUL, która to praca jest niezwykle przyjemna i choć wykonywana niemal społecznie, daje ogromną satysfakcję, ale równocześnie jestem sekretarzem redakcji kwartalnika poświęconego literaturze i sztuce pn. „Akcent”. Kwartalnik wydawany jest wprawdzie w Lublinie, ale nie jest czasopismem regionalnym. Ze spraw regionalnych wybieramy i publikujemy tylko te materiały, które wnoszą istotną wartość do kultury ogólnonarodowej. „Akcent” redagowany jest przez zespół młodych pracowników naukowych z UMCS i KUL oraz przedstawicieli środowisk artystycznych Lublina. Naszymi stałymi współpracownikami są specjaliści z różnych ośrodków naukowych w Polsce: filozofowie, historycy, socjologowie, filologowie, historycy sztuki, muzykologowie, literaci, plastycy... Jesteśmy czasopismem otwartym na wszystkie wartościowe propozycje autorskie, bez względu na wiek autorów, miejsce zamieszkania, orientację światopoglądową itp. Może dlatego z „Akcentem” utrzymuje także kontakt wielu autorów polskich mieszkających na obczyźnie. Mam wielką nadzieję, że kolejne dziesięciolecie naszego czasopisma będzie również znaczące jak to, które właśnie bilansujemy. „Akcent” to niemal moja prywatna pasja, dla której nie szczędzę czasu ani energii.

— Czego więc należy Pannę życzyć przede wszystkim z okazji Świąt i zbliżającego się Nowego Roku?

— Jeśli czegoś prywatnie chciałaby mi pani życzyć, to przede wszystkim dalszej pomyślności dla „Akcentu”, no i może tylko trochę więcej czasu na pisanie wierszy — bo zdarza się, że noszę je w pamięci i nie mam kiedy zapisać — a wiersz nie zapisany jest jak kamfora: ulatnia się!

— Życzę tego Pannę serdecznie w imieniu redakcji i Czytelników.

Rozmawiała

HENRYKA WITALEWSKA

*Zbigniewa Brzozowskiego, drugiego laureata Nagrody Literackiej, przedstawimy w późniejszym terminie.

NOWOŚCI NADESŁANE

LITERATURA PIĘKNA

Adolf Rudnicki: STO LAT TEMU UMARŁ DOSTOJEWSKI. WL, Kraków 1989 s. 198, cena 1300 zł.

Urke-Nachalnik: ŻYCIORYS WŁASNY PRZESTĘPCZY. Wyd. Łódzkie, Łódź 1989, s. 300.

Lucjusz Anneusz Seneka: MYŚLI. WL, Kraków 1989, s. 654, cena 2850 zł.

Jerzy Górzański: Z ŻYCIA WIERSZY. WL, Kraków 1989, s. 157, cena 500 zł.

Rustem Kutub: KOLOROWE SZKIEŁKA. Nasza Księgarnia, Warszawa 1989, s. 184, cena 1100 zł.

Władimir Zelezniuk: STRASZYDŁO. Nasza Księgarnia, Warszawa 1989, s. 175, cena 550 zł.

Katalin Nagy: NIEZWYKŁY PAMIĘTNIK. Nasza Księgarnia, Warszawa 1989, s. 128, cena 950 zł.

Horl Stancu: ASKLEPIOS. Nasza Księgarnia, Warszawa 1989, s. 336, cena 890 zł.

WSPOMNIENIA

Jerzy Ziolkowski: NA LOTOWSKICH SZŁAKACH. MON, Warszawa 1989, s. 495, cena 3000 zł.

Antoni Kieniewicz: NAD PRYPECIA, dawno temu... Wspomnienia zamierzającej przeszłości. Ossolineum, Wrocław 1989, s. 550, cena 4000 zł.

Mircea Eliade: ZAPOWIEDZ RÓWNONOCY. WL, Kraków 1989, s. 269, cena 2950 zł.

HISTORIA

Franciszek Bernas: ZAGINIENI REZ. WIEŚCI. Wyd. Lubelskie, Lublin 1989, s. 229, cena 1300 zł.

Ryszard Torzecki: KWESTIA UKRAIŃSKA W POLSCE W LATACH 1923-1929. WL, Kraków 1989, s. 459, cena 3900 zł.

Georges Patton: WOJNA JAK JA POZNAŁEM. MON, Warszawa 1989, s. 436, cena 2500 zł.

Ernesto Che Guevara: EPIZODY WOJNY REWOLUCYJNEJ. WL, Kraków 1989, s. 242, cena 1300 zł.

ALBUMY

Adam Kaczkowski: BEZAMY TRAGEDII WSIT. Warszawa 1989, s. 130.

OŚWIATA I WYCHOWANIE, PEDAGOGIKA

Czesław Banach: PEDAGOGDZY O OŚWIATY I WYCHOWANIU. WSIP, Warszawa 1989, s. 172, cena 300 zł.

Halina Filipczuk: RODZICE I DZIECI W MŁODSZYM WIEKU SZKOLNYM. Nasza Księgarnia, Warszawa 1989, s. 273, cena 950 zł.

Tadeusz Kotarbiński: ŻYCIE ZACINIE (wybór: Teresa Macheta). Nasza Księgarnia, Warszawa 1989, s. 176, cena 600 zł.

Praca zbiorowa pod red. B. Milewicz: WSPOMNIENIA O JANUSZU KORCZAKU. Nasza Księgarnia, Warszawa 1989, s. 234, cena 2500 zł.

Mała Falkowska: KALENDARJUM ŻYCIA, DZIAŁALNOŚCI I TWÓRCZOŚCI JANUSZA KORCZAKA. Nasza Księgarnia, Warszawa 1989, s. 418, cena 1500 zł.

TYGODNIK ZNP ODZNACZONY



KRZYŻEM
KOMANDORSKIM
ORDERU
ODRODZENIA
POLSKI



ZŁOTA
ODZNAKA
ZNP



MEDALEM
KOMISJI EDUKACJI
NARODOWEJ



KRZYŻEM
ZA ZASŁUGI
DLA ZHP

Redaguje zespół: Halina Drachal (kier. działu związkowego), Magdalena Grochow-ska Lidia Jastrzębska (II sekr. red.), Maria Kalińska (sekr. red.), Teresa Konarska (kier. działu listów i interwencji), Jerzy Krasniewski (kier. działu polityki oświatowej), Barbara Kozarska (red. techn.), Zbigniew Pawłowski (redaktor naczelny), Maria Rybarczyk (sekr. redaktora naczelnego), Witold Salanski (kier. działu literatury i sztuki), Jerzy Krasniewski (kier. działu literatury i sztuki), Zdzisław Nowak (kier. działu graficznego), Jan Rocki (kier. działu graficznego), Kierownik administracji — Teresa Grochowska, korekta — Małgorzata Gościńska, Małgorzata Pośnik.

Adres redakcji: ul. Spasowskiego 68, 00-389 Warszawa. Telefon: centrala 26-10-11 oraz 26-34-20 27 66 30.

WARUNKI PRENUMERATY:

1. Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne.

2. Cena prenumeraty na I kwartał 1990 r. wynosi 2300 zł.

3. Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. droższa: w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumerator.

4. Wpłaty na prenumeratę przyjmują:

— oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora Odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumerator w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób;

— urzędy pocztowe i listonosze — od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości w których nie ma oddziałów RSW, a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych. Poczta zapewnia dostawę zamówionych egzemplarzy pod wskazany adres pod warunkiem uiszczenia dodatkowej opłaty za każdy doręczany egzemplarz. W I kwartale 1990 r. wynosi to 100 zł od egzemplarza;

— Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa konto PBK XIII Oddział W-wa 370044-1195-139-11 — tylko od prenumeratorów zlecających dostawę za granicę

5. Terminy przyjmowania prenumeraty:

— na kraj — do 20.XI na I kw. roku następnego

— na zagranicę — do 31.X na I kwartał oraz do 1 dnia każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo do ich skracania i opatrywania tytułami

Reklamy i ogłoszenia przyjmuje oraz informację udziela Biuro Ogłoszeń i Reklamy Wydawnictwa Współczesnego, 00-490 Warszawa ul. Wiejska 12 tel. 28-24-11 wewn. 195 i 221. Ceny ogłoszeń: drobne — 1000 zł za 1 wyraz lub znak o oddzielnym znaczeniu; dla ogłoszeń dotyczących poszukiwania pracy przez nauczycieli — 50 proc. niższe; dodatkowa opłata za pośrednictwo w przekazywaniu ofert — 500 zł; kredytowe: komunikaty — 2000 zł, pracownicy poszukiwani — 2000 zł, nekrologi — 1000 zł, reklamy — 2000 zł za 1 cm kwadratowy

Należność za ogłoszenia prosimy wpłacać na konto: Państwowy Bank Kredytowy — III O/Warszawa, nr rachunku 370015 5223-139-11.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch” 02-017 Warszawa ul. Nowogrodzka 84/89.

Nr indeksu 33 943

PI ISSN 0017 1263

Zam. 2427

A-55

MIEJSCE OBOK NIEGO

Cała sprawa liczy sobie ponad pół wieku. „Ścieżkę obok drogi” pisała Kazimiera Ilakowiczówna w roku 1936. Teraz Oficyna Wydawnicza „Zelipress” udostępniła nam reprint drugiego przedwojennego wydania tych wspomnień. Miło patrzeć na stronę tytułową: Warszawa 1939. Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, a więc znana firma, założona przez Melchiora Wańkowicza... a on już wiedział, czego pragnie czytelnik.

Książka była ongiś głośna, dziś jest oczekiwana i — co tu mówić — miła w czytaniu, na równi ze „Strzepami meldunków” Sławoja Skłodowskiego czy też „Pamiętnikiem adiutanta Marszałka Piłsudskiego” napisanym, także przed wojną, przez Mieczysława Lepeckiego. „Ścieżka obok drogi” to wspomnienia o Piłsudskim spisane przez znaną poetkę, która pracowała przez dziewięć lat jako jego sekretarka w Ministerstwie Spraw Wojskowych.

Pamiętnik „Illy” wywołał jeszcze przed wojną spory i dyskusję. Atakowały autorkę — i to ostro — znakomite pisarki. Że za mało powiedziała, że to są białe wspomnienia. Z takim ich charakterem godzi się zresztą w przedmowie sama Kazimiera Ilakowiczówna. Uważa jedynie, że „wszystko, co dotyczy Józefa Piłsudskiego, winno być zanotowane dla przyszłego historyka”. Więcej niż skromnie określiła też wymiar własnej osobowości na tle postaci Józefa Piłsudskiego. Píše w swojej książce, iż zapytana przez kogoś, czy naprawdę nie boi się marszałka, odpowiedziała: „Jestem pilszka w jaskini lwa. Lew pilszek nie jada”.

W tym jednak sek, że Ilakowiczówna nigdy pilszką nie była. Ani w poezji, ani w prozie, ani w swojej wzorowej pracy urzędniczej, traktowanej jako obowiązek obywatelski, jeśli nie misja. Była już naprawdę kimś w MZS, gdy wywołał ją stamtąd na okres — jak się okazało — dziewięciu lat Józef Piłsudski. Po zgonie

Komendanta wróciła na swoje poprzednie stanowisko.

Marszałek pamiętał Kazimierę Ilakowiczównę jeszcze ze swoich czasów krakowskich (rok 1911), gdy to siostra przyszłej pisarki przygotowywała mu materiały naukowe do prac o wojsku. Teraz, po zamachu majowym, przypomniał sobie „Kazie”, wezwał ją do siebie i oznajmił: „Będziesz moim sekretarzem osobistym”. Próbowala protestować. „Tamto (czyli MSZ) jest moim domem, innego nie mam”. Gdy nalegał, że potrzebny mu w biurze ktoś pogodny, bo „tu samo wojsko, same trudne sprawy. Ciężkie oschle — obozowe życie”, zdobyła się prawie na upór: „Ale ja nie brałam w niczym udziału. Ani w Legionach ani w bojówkach PPS. I w więzieniu nie siedziałam. I Peowiaczka nie byłam. I służyłam w czołówkach Komitetu Narodowego przy rosyjskim wojsku”. Pełniła przecież w warunkach frontowych funkcje siostry, miłośniczki. „Otoż to — powiedział Marszałek — to, to, to! Nie byłaś, to teraz będziesz, nie robiłaś — teraz będziesz. Dlatego, uważasz, ciebie wybrałem”.

Mówił w tym samym stopniu dobrośliwie, co i stanowczo. Nie pomógł nawet okrzyki „panny referendarz”, iż jest konserwatystką, przeciwniczką zamachu majowego i kim tam jeszcze. „Będziesz, uważasz, tylko mnie podlegała. Innego szefa nie masz, tylko mnie” — odpowiedział na to wszystko, a jeszcze na koniec zwrócił się do Józefa Becka: „Ta szelma, tam, mówi, że ona wojska nie znosi, że wy wszyscy feldfeble...” Właśnie u Becka miała się zgłosić za trzy dni.

No i zaczęło się. Dostała najpierw „wielki, słoneczny, nieładny salon” obok gabinetu Marszałka. „Urządaj, gdzie chcesz. Jak mnie nie ma, możesz na moim biurku, w moim gabinecie” — zdecydował. A praca polegała między innymi na tym, żeby opiniować i przekazywać gdzie trzeba wpływające na jego imię podania, odpowia-

dać na listy, przyjmować niektórych interesantów. Sam Piłsudski zupełnie się do tej swojej kancelarii nie wtrącał. „Zle załatwisz — oberwiesz” — orzekł i zajął się sprawami wojska i państwa.

Mijał czas. Ilakowiczówna wchodziła coraz poważniej w funkcje, które wymagały taktu, rozumu i poświęcenia, no i wyjątkowych kwalifikacji moralnych. Do Piłsudskiego pisali wtedy i przychodzili w szyscy. Dobrze, jeśli tylko z błogosławieństwem, jak stary rabin z Baranowicz. Przyjęła go serdecznie, a na pożegnanie podała rękę, nieświadoma tego, że dotknięcie „nieczystego stworzenia”, czyli kobiety, jest hańbą dla duchownych żydowskich. Nie było wielkiego kłopotu, gdy ktoś przyniósł papugę w klatce, ale gdy przybył oznajmiać, że jest świętym, a taki wypadek zdarzył się jeszcze w Sulejówku... Świętym jest z zawodu i w obecności Marszałka chce dokonać cudu. W podobnych wypadkach adiutant postanawiał, że potrzebna jest rewizja osobnika, bo nie wiadomo, co ma w zanadrzu.

Różnie bywało. „Wariaci pukali do drzwi, panienki chcące wstąpić na scenę oblegały biuro, w nocy malarz telefonował, jakiego koloru oczy ma Marszałek, bo on robi jego portret z fotografii”. Działem pracy wymagającym sprawności i dyplomacji były chrzty. „Marszałka proszono w kumy z różnych stron i dla różnych powodów”. Wyrażano w ten sposób hold jego osobie i szukano wyróżnienia dla dziecka. Zarówno „Ilka”, jak i adiutant Galiński uważali, że nikomu w takich wypadkach nie należy odmawiać. Akt odbywał się zresztą na dystans. Ktoś w imieniu Marszałka trzymał dziecko do chrztu, a tylko nazwisko Józefa Piłsudskiego wpisywano do księgi metrykalnej. Raz doszło nawet do tego, że bez swojej wiedzy i woli został on ojcem chrzestnym córeczki złodzieja poszukiwanego przez policję.

Bywało bardzo smutno. „Chłopi pisali podania czarne od ziemi i złego tytoniu, że geometra źle ziemię podzielił przy komasacji, że sądy są niesprawiedliwe (...) że się spalili, że ich powódź załazi, że nie wiedzą, jak głosować...”. Wypuszczeni z aresztów skartylili się, że tam tłuła. Jakś niepełnoletni chłopak dostał siedem lat za komunizm. Straszna bywała — wyznaje pisarka — otchłań nędzy, w którą trzeba się było wpatrywać, często bezradnie.

Autorka wspomnień obliczyła, jak przystało na dobrą urzędniczkę, że rocznie przechodziło przez jej ręce średnio około trzydziestu tysięcy podań, a w ciągu dziewięciu lat — ćwierć miliona — nie samych tylko próśb, ale też „skarg i zażaleń”. Sta-

ła się ówczesnym rzecznikiem obywatelskich praw, choć takiego urzędu wtedy nie powoływano.

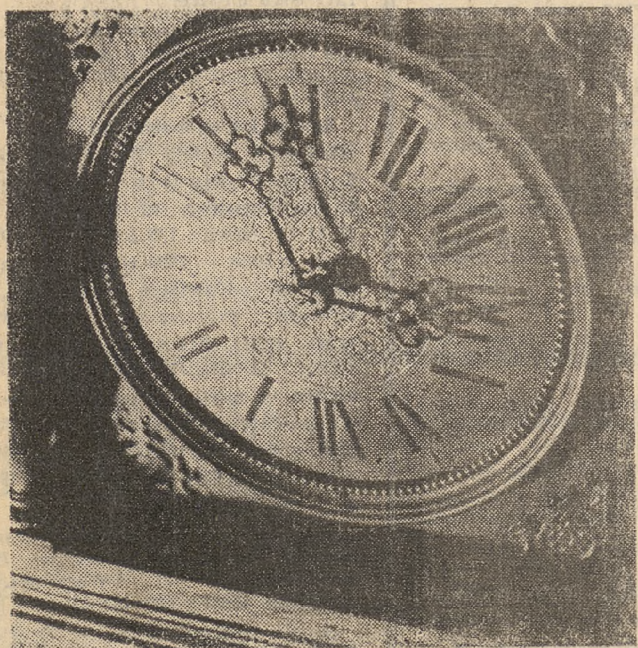
Piłsudski występuje w książce tej pograżonej w sprawach biura poetki jako idea przewodnia jej życia, jako jedyny drogowskaz dla Polski. Gdy, rozżalona namiętnymi trudnymi sprawami, wchodzi do jego gabinetu, chcąc zgłosić swoją „dymisję”, z miejsca się takiego zamiaru wyrzeka, gdyż Komendant mimo zmęczenia życzliwie na nią spojrzal. Pełen uwielbienia stosunek do Józefa Piłsudskiego jest w całej tej książce może i najważniejszy. A w każdym razie jest dokumentem. A oto jeden z opisów postaci Marszałka w „Ścieżce obok drogi”: „Wychodzi zaraz (z sąsiedniego gabinetu) i coś powie, albo tylko życzliwie zamruczy. Spojrzy szaro albo niebiesko ze starej, pięknej twarzy, źle ogolonej, pod źle strzyżonymi, świeżymi włosami. Ma wygnieciony, jak psu z gardła wyciągnięty mundur. Cały jest w poprzeczne fałdy, obsypany popiołem z papierosów, ręce i paznokcie ma szare od tego popiołu. Wyszedł od siebie i stoi — bardzo jasny od dobroci, jaka od niego bije «No, co tam masz. Chodź do gabinetu, to ci podpiszę»”.

W miarę upływu lat i pogarszania się zdrowia coraz mniej miał ochoty i czasu na wtrącanie się do prac, jakie w jego imieniu wykonywała „Kazia”. Był z niej niezmiennie rad, pozwalał samodzielnie działać, ale do współpracy w kwestiach, które uznawał za ważne, nigdy nie doznaczał. Nawet o nich nie wspominał. Żądał ponadto, żeby była bardzo powściągliwa w rozmowach i w opowiadaniu o tym, co się koło niej dzieje. Wzorowa urzędniczka dostosowała się do takiego wymagania z właściwą jej ascetyczną sumiennnością. Zyskała na tym zapewne niejedną państwową sprawę — straciła książkę. Ilakowiczówna nie tylko nie plotkuje (jakie by śmiała!), ale często wstrzymuje się od głosu tam, gdzie jej wypowiedź byłaby świadectwem czasu, miejsca i zachowań ludzi zapisanych w historii. Owszem, jest tu dość wyrazisty i mało ujmujący portret Józefa Becka, ale poza tym padają już raczej tylko nazwiska. Nie pozwolił sobie nawet na żarty z Wieniawy, choć jego osoba aż się o to prosiła. Swobodnie napisze tylko o adiutantach, ordynansie, zandarmach.

Trudno. Przekazała jedynie w jakichś konturach ujmujący wizerunek Józefa Piłsudskiego, no i własnej osoby. Pełniące służbę z przekonania i z wiary. „To miały być moje okopy, moje bitwy, moje niebezpieczeństwa. I to miało być «miejsce obok niego»” — stwierdza poetka.

TO BĘDZIE ROK!

WSZYSCY MILIONERAMI



UDANEGO SYLWESTRA!

Z sieci sprzecznych nadziei i rozczarowań realiami wyluskuję bajkowe treści życia. Ot i marzenie każdego z nas — o milionie w kieszeni — zaczyna nabierać realnych kształtów. A ten stan — o krok od spełnienia — budzi najsympatyczniejsze uczucia.

Wróżę więc wszystkim, że już za dni parę wpadniemy w błogi nastrój... a towarzyszące tej swoistej klęsce urodzaju realia — odrzućmy. I tak dadzą znać o sobie zbyt szybko.

Jakiej by filozofii nie być orędownikiem, większość i tak zgodzi się, że lepiej być bogatym, zdrowym i pięknym niż...

Przeliczanie okazałych pakietów papierów wartościowych mamy zagwarantowane.

Co do zdrowia — sprawa jest dziecinnie prosta. Wystarczy kilka kropel specyfiku „Amol” nałożyć na skronie by rozwiać czarne humory i zważyć czyhające zewsząd wirusy.

Ow ziołowy preparat (do nabycia w sklepach „Peweru”) zapewni nam pierwszy składnik przyjątej maksymy. Zwłaszcza że wchodzimy w rok wymienialnej złotówki.

O urodę jestem spokojna. W takich warunkach ciało pięknieje samo. Gdyby miało drobne trudności postaramy się otrąć o świat zabawek „Fischer-Preiss”. Bo, jak zapewniają poprzez reklamę właściciele, jest to mądry i piękny świat, to świat dziecka... No skoro dziecka...

I wszystko gra. Pieniądze dają zdrowie, zdrowie piękno ciała i ducha. Życzę Wam, drodzy Czytelnicy, sprawdzenia tych zależności w każdą stronę i...

UDANEGO SYLWESTRA

(L.J.)

UPRZEDZAM, ŻE
PRZETRZYMAŁEM JUŻ
KILKUNASTU TAKICH
JAK TY...

